WTOREK Nr 1 4 I 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UWAGA, UWAGA !

Drukujemy listę nagrodzonych w konkursie

„UWAŻAJ, COŚ JEDZIE!"

Nasz tegoroczny konkurs okazał się dla Was łatwy. Świadczy o tym aż 169 bezbłędnych odpowiedzi na wszystkie zadania konkursowe, spośród 1500 nadesłanych do redakcji rozwiązań.

Cieszymy się, że znacie całkiem nieźle przepisy i zasady bezpiecznego poruszania się po drogach. Mamy nadzieję, że stosujecie je również w praktyce, na co dzień, bo na tym właśnie nam najbardziej zależy!

Szczęśliwcom wylosowanym przez redakcyjną „sierotkę" – gratulujemy. Wszystkim pozostałym dziękujemy za wytrwały udział w konkursie.

Nagrody – piłki siatkowe, plecaki i torby turystyczne – wyślemy pocztą.

REDAKCJA

Lista nagrodzonych

1. Wojciech Cielicki, Balin, 87-500 Rypin, woj. Włocławek
2. Agnieszka Zemanek, 34-311 Czernichów 94, woj. Bielsko-Biała
3. Tomasz Hermansa, 43-190 Mikołów, Os. Grunwaldzkie 11/13, woj. Katowice
4. Rafał Wiśniewski, 01-156 Warszawa, ul. Żytnia 58 m. 8
5. Beata Gruszka, 28-300 Jędrzejów, ul. 14 Stycznia, woj. Kielce
6. Wojciech Trębała, 64-111 Lipno, Lipno-10, woj. Leszno
7. Agnieszka Drózd, 26-600 Radom, ul. 1 Maja 5/9 m. 46.
8. Łukasz Mateja, 34-410 Rabka, Os. Orkana 14a m. 23
9. Wojciech Wołkowski, 30-561 Kraków, ul. Wielicka 82 m. 1
10. Beata Markiewicz, Nadróż 87-516, p-ta Żałe, woj. Włocławek
11. Beata Bok, 48-100 Głubczyce, ul. Żeromskiego 1, woj. Opole

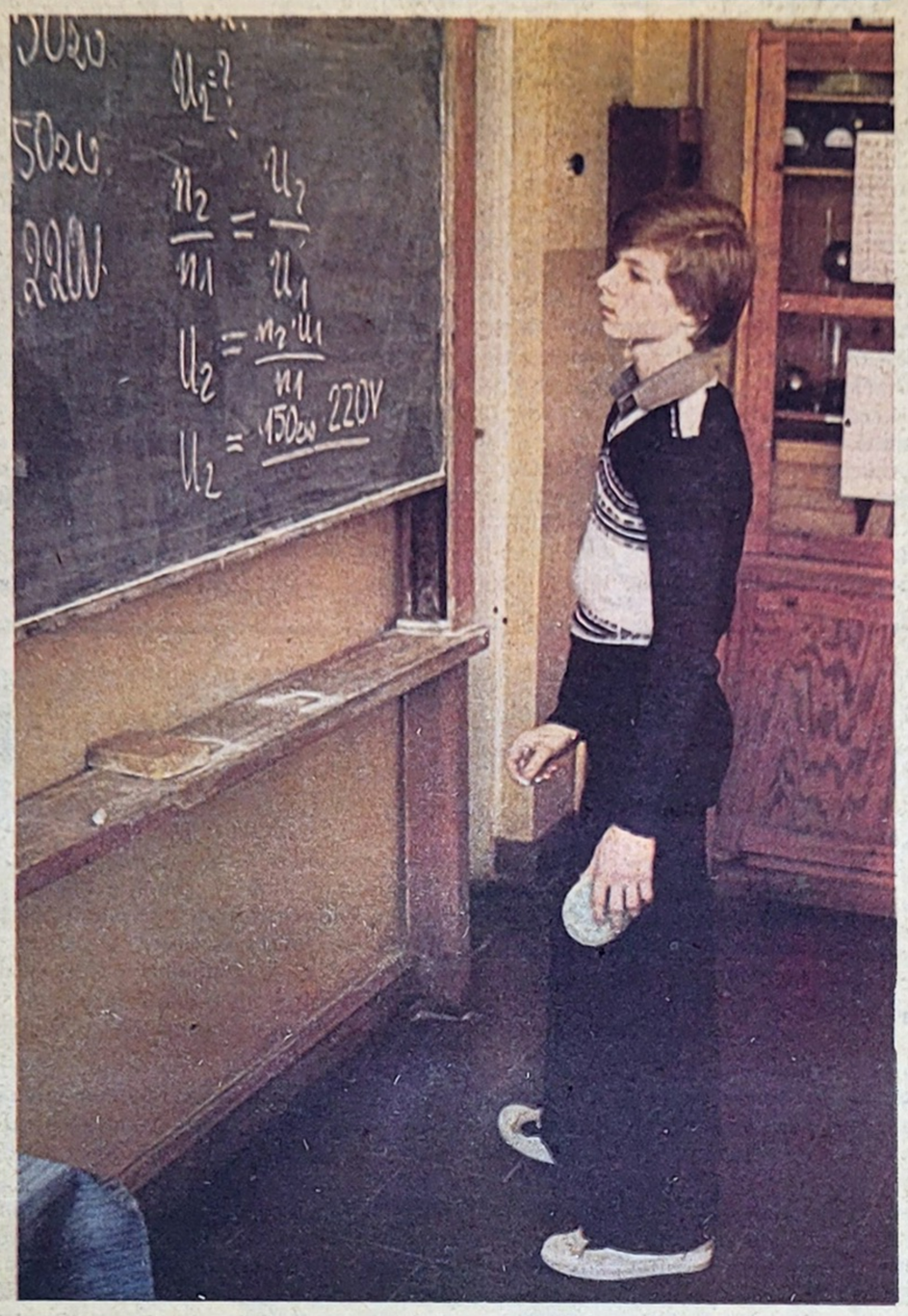

Egzaminy do szkół średnich – za pół roku...
Piszemy o nich na stronie 4

Fot. **M. Szymański**

Wytnij, zachowaj, przekaż innym

HARCERSKIE NAUKOWE LATO-1983

Podczas trwania lata-1983 zostanie zorganizowanych kilkanaście obozów poświęconych sprawom nauki i kultury, dla uczniów interesujących się szczególnie jakąś określoną dziedziną wiedzy. Każdy, kto chce w nich wziąć udział powinien do dnia **31 stycznia 1983** nadesłać zgłoszenie zawierające dane osobowe, adres, szkołę, opinię nauczyciela (opiekuna naukowego) oraz krótki opis własnych osiągnięć. Pierwszeństwo w przyjęciu na obozy mają członkowie ZHP.

Dziś propozycja 7:

Harcerski Obóz Interdyscyplinarny z zakresu nauk humanistycznych, zorganizowany zostanie przez Krąg Białej Podkładki z Krakowa w sierpniu – w Bieszczadach. Zapraszamy do udziału w tym obozie wszystkich interesujących się naukami humanistycznymi, a także młodych twórców. Zgłoszenia należy nadsyłać na adres: **hm. PL Bogdan Schütterly, ul. Karmelicka 31, 31-131 KRAKÓW, Komenda Chorągwi ZHP. (jt)**

UWAGA! Zmiana terminu propozycji 2: obóz etnograficzny odbędzie się w sierpniu, a nie w lipcu.

Co drugi uczeń w SKS

W Zadusznikach nie prześpią zimy

(Inf. wł.) Szkoła w Zadusznikach (woj. włocławskie) do wielkich nie należy. Uczęszcza do niej około 200 uczniów. Ale działający tam SKS może poszczycić się sporymi sukcesami. W roku ubiegłym reprezentanci Zadusznik zajęli trzecią lokatę w wojewódzkiej rywalizacji „Sztafety olimpijskiej Los Angeles'84", biegacz Jarek Studziński znalazł się w czołówce rozgrywanego w Białymstoku Małego Memoriału Janusza Kusocińskiego.

SKS liczy 94 członków, a więc co drugi uczeń szkoły (licząc nawet pierwszaków) bierze udział w zajęciach klubu. Najliczniejsza jest sekcja lekkoatletyczna (czwórbój i biegi), a z zimowych konkurencji największym powodzeniem cieszy się łyżwiarstwo. Wszystko wskazuje na to, że sportowcy z Zadusznik, których opiekunem jest pan Zbigniew Jaskólski (były znakomity sprinter), zimy nie prześpią i wiosną dadzą o sobie znać ponownie. Już teraz trenują 10 godzin tygodniowo i pilnie przygotowują się do kolejnych eliminacji. Brak sali gimnastycznej oraz większej ilości potrzebnego sprzętu nikogo nie przeraża. Nawet o tej porze roku można z powodzeniem przygotować się do późniejszych startów w wielu dyscyplinach.

(zp)

TWIERDZĘ • WĄTPIĘ • PYTAM

Jestem zwolennikiem surrealizmu i twierdzę, że Salvadore Dali jest najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku.

Wątpię, czy kiedykolwiek dorosnę do życia.

Pytam, czy można twierdzić?

W tych trzech krótkich zdaniach część swoich życiowych poglądów zawarł Paweł z Warszawy.

A Ty? Czy podpisałbyś się pod tym? Czy wybrałbyś inne twierdzenia, wątpliwości i pytania? Jakkolwiek jest, chcielibyśmy poznać i Twoje stanowisko. Możesz wyrazić je w kilku zdaniach, możesz poprzeć szerszym uzasadnieniem. Ale w każdym razie napisz do nas. Na kopercie zaznacz: T W P

Dzień 28 listopada 1982 roku zostanie na długo w pamięci krakowian, a może i wszystkich Polaków. Tego właśnie dnia – w 75 rocznicę śmierci Poety – odsłonięto pomnik chyba najbardziej krakowskiego z polskich twórców narodowej kultury – Stanisława Wyspiańskiego. Spory i dyskusje nad kształtem i lokalizacją pomnika trwały kilkadziesiąt lat. I oto stanął naprzeciwko nowego gmachu Muzeum Narodowego; autorem jego jest prof. Marian Konieczny.

O poecie, dramaturgu i malarzu, który „przeczuł, przewidział i w dziełach swoich zostawił", przeczytacie na stronie 5

Fot. **CAF**

Rzemiosło – dzieciom

MOŻE BĘDZIE Z TEGO NARESZCIE MODNA I FUNKCJONALNA KONFEKCJA DZIECIĘCA?

KATOWICE (PAP). W pawilonie wystawowym NOT w Katowicach otwarto ciekawą i bardzo na czasie ekspozycję pod hasłem: „Rzemiosło – dzieciom". Wzorcownia łódzkiej spółdzielni rzemieślniczej i producent – spółdzielnia „Włókno" z Łodzi – prezentują na niej bogatą kolekcję wzorów: sukienek, spódniczek, bluzek, spodni, kurtek i innej konfekcji dla dzieci w wieku 6–10 lat. Wystawie towarzyszy sprzedaż, ale niestety tylko... szablonów z wykrojami dla zainteresowanych rzemieślników z branży odzieżowej. **(kl)**

Saltem przez życie

W bieżącym roku artyści cyrkowi obchodzić będą swoje wielkie święto – jubileusz areny polskiej i sztuki, której tradycja sięga kilku tysięcy lat przed naszą erą! W przeszłości budziła ona lęk, ciekawość i zdumienie widzów, a ludzi wykonujących ten zawód posądzano o kontakty z diabłem i czary. Dziś, wolni od tych przesądów, przychodzimy pod cyrkowy namiot, by podziwiać wspaniałe popisy, sprawność, precyzję i odwagę artystów wykonujących efektowne i niebezpieczne numery. Moja fascynacja tą dziedziną sztuki zaprowadziła mnie najpierw po naukę do Państwowego Studium Cyrkowego w Julinku, a następnie na studia wyższe w Państwowym Instytucie Teatralnym w Moskwie – jedynej w świecie uczelni, której ukończenie daje możliwość zdobycia zawodu reżysera cyrkowego.

W swoim cyklu „Saltem przez życie", chciałbym wprowadzić Was w świat piękny i tajemniczy, który dostarcza człowiekowi wielu emocji i radości życia. Chciałbym nauczyć Was oglądać i kochać prawdziwą sztukę cyrkową...

MICHAŁ CHMIELEWSKI
Fot. **W. Wróblewski**

CIĄG DALSZY NA STR. 4

REPORTER Świata Młodych

Rodzina i ja

DOM, W KTÓRYM ŻYJĘ...

Jestem stałym czytelnikiem „Świata Młodych", a przede wszystkim artykułów drukowanych w Lidze Reporterów. I marzę o tym, aby zostać członkiem LR, jednak tematy, jakie są przez Was sugerowane, są dla mnie trudne, a nawet niemożliwe do napisania. Próbowałem już po wielokroć to uczynić i niejedną kartkę papieru zapisałem, ale żadna z mojej pisaniny nie odpowiadała podanemu tematowi albo rzeczywistości. Rzeczywistości, którą żyję na co dzień i z której nie mogłem wybrać czegoś takiego, co by pasowało do artykułów drukowanych w Lidze Reporterów. Jednak teraz postanowiłem do Ciebie Szefie, napisać.

Mam 14 lat, z których chyba siedem przeżyłem w Domu Dziecka, a ostatnie trzy w Państwowym Domu Pomocy Społecznej. Jestem pensjonariuszem domu, który zamieszkują ludzie o wiele starsi ode mnie, przeważnie w wieku podeszłym, który mieści się w granicach 60 do 90 lat, albo i więcej. Trafiłem tu chyba dlatego, że jestem niepełnosprawny, jeżdżę na wózku inwalidzkim, nie mogę chodzić.

Pomimo tego wszystkiego, co wiąże się z moim złym stanem zdrowia, kontynuuję naukę w klasie szóstej. Nauczyciel po kilka godzin tygodniowo jest ze mną i w świetlicy, jaka tu jest, prowadzi nauczanie. O samej nauce niewiele mogę napisać. To co wiem o szkole i klasie, to raczej z opowiadania. I całość mojego nauczania ogranicza się przede wszystkim do samodzielnego opanowania materiału. Chociaż nauczyciel wykłada mi przedmioty przez mniej więcej osiem godzin tygodniowo (co jest chyba zbyt mało), to jednak osiągam postępy w opanowaniu wiedzy. W tym pomagają mi też różni ludzie, a szczególnie jeden ze współlokatorów, z którym razem mieszkamy w trzyosobowym pokoju. On także się uczy, tylko, że w LO. Ten Pan trzydziestodwuletni często mi pomaga w nauce, ale i konsekwentnie wyciąga wnioski, kiedy ja przez roztargnienie, lenistwo, kaprys, lub inne przyczyny zaniedbuję naukę.

Jeszcze kilka zdań o swoim otoczeniu, które zastępuje mi dom, rodziców, rodzinę itp. Na pewno każdy będzie w stanie sobie wyobrazić warunki takie, jakie mogę mieć w P.D.P.S. Tak, dom, rodziców, rodzinę czy bliskie mi osoby zastępuje mi personel tego domu i ludzie mi obcy, o wiele starsi ode mnie, którzy nie zastąpią mi rodziców, rodzeństwa czy też przyjaciół bliskich mojemu sercu. I to jest właśnie dla mnie najcięższym z ciężarów mojego życia. Tym wszystkim, co mają inne dzieci, jest dla mnie Państwowy Dom Pomocy Społecznej. Myślę przede wszystkim o rodzicach, których nie znam i o zdrowiu, które mi nie dopisało. Nie mam wiele ponadto niż sam siebie, a chciałbym mieć i przeżywać to co moi rówieśnicy, to co opisują w reportażach Ligi i wielu innych artykułach. Nawet nie mam przyjaciół, którzy by, choćby listownie, podzielili się ze mną swoimi przeżyciami na przykład z wakacji, z wycieczki, czy harcerskiego obozu. A chciałbym mieć korespondencyjnych przyjaciół, z którymi mógłbym utrzymywać kontakt. Piszę o tym i myślę, że może uda mi się za pośrednictwem Ligi Reporterów nawiązać z rówieśnikami korespondencyjną przyjaźń, kontakty, które pozwolą mi bliżej poznać smak radości i smutki moich rówieśników, i z którymi będę mógł się podzielić swymi sprawami. Wtedy może łatwiej będzie mi napisać coś na tematy, które mają być w hasłach czy tematach Ligi Reporterów...

Ryszard

Od szefa LR

Wszyscy, którzy chcieliby pomóc Ryszardowi proszeni są o listy adresowane do LR z dopiskiem na kopercie: „Do Ryśka".

Ryszardowi przyznaję honorowe członkostwo Ligi Reporterów.

MIŁO JEST W MOIM DOMU

Mamusia jest technikiem budowlanym, tatuś oficerem WP w stopniu kapitana, a ja uczennicą. Mieszkam na Śląsku. Życie rodzinne zaczyna się dopiero po powrocie rodziców z pracy. Nie ma u nas podzielonych obowiązków, więc każdy robi tak, aby utrzymać porządek. Ja np. sprzątam, wynoszę śmieci, tatuś myje naczynia, czasami gotuje, mamusia gotuje, pierze i szyje na maszynie (najczęściej). Moi rodzice stworzyli mi miłą atmosferę. Jeździmy razem na wycieczki, chodzimy na spacery, w pochmurne dni często gramy w różne gry. Ja i tatuś mamy wspólną pasję, filatelistykę. Porządkowanie i układanie znaczków zajmuje wiele czasu. Nie jestem wychowywana w rygorze, czego można by się spodziewać po tacie – żołnierzu, ale sama potrafię utrzymać dyscyplinę. Rodzice wziąwszy pod uwagę, że mam te „naście" lat, zaczęli mi dawać co miesiąc pieniądze na wydatki. Pozwalają mi chodzić niekiedy na dyskoteki, częściej do kina, teatru, który bardzo lubię. Niczego mi nie brakuje, co mi potrzeba, to dostanę. Tatuś lubi robić mi prezenty w postaci płyt, książek, zaś mamusia w postaci sukienek i innych rzeczy. Ufamy sobie bezgranicznie i bardzo się kochamy. Zakładając swoją rodzinę, będę brała wzór z tej obecnej. Będę się starała być dobrą i rozumną żoną i matką.

„Iza"

STALE NA „CENZUROWANYM"

Jestem w LO w klasie I o profilu matematycznym. Oboje rodzice mają wyższe wykształcenie... Mieszkamy w piątkę – mama, tato, ojciec taty, brat i ja. Mam pokój (razem z bratem), dużo książek, nie najgorsze oceny i... nic więcej. Rodzice traktują mnie jak pięcioletnie dziecko, z domu wypuszczają tylko wtedy, gdy wyjść muszę, to znaczy do szkoły, po zakupy itp. Uważają, że jeżeli puszczą mnie z bratem raz na trzy miesiące do kina, oddalonego około 20 metrów, na film b.o. (brat ma 6 lat), to powinnam być szczęśliwa i przez dwa miesiące słuchać, ile to oni wydali na moją „rozrywkę". Sama do kina iść nie mogę – przecież by mi się coś na pewno stało (droga 20 m!).

Książki, które przyniosę z biblioteki, czyta najpierw mama, a potem (nie zawsze) ja otrzymuję łaskawą zgodę na przeczytanie. Nie pozwalają mi należeć do żadnej organizacji, nawet do ZHP. Zwierzać się rodzicom z moich kłopotów nie mogę. Raz spróbowałam i wystarczyło. Oni roztrzygają wszystkie moje sprawy. Ja nie mam prawa się sprzeciwiać. Bardzo chciałam po podstawówce iść do Liceum Morskiego, ale nawet nie próbowałam o tym mówić z rodzicami. Zaraz bym usłyszała, że mnie nie puszczą. Zdecydowałam się więc na klasę matematyczną, gdyż chcę być nawigatorem, a w nawigacji matematyka jest konieczna. Szczęście, że gdy skończę LO będę już pełnoletnia – rodzice nie będą mogli zabronić mi pójścia do Wyższej Szkoły Morskiej. Chciałabym aby w mojej przyszłej rodzinie było to, czego mi teraz tak brakuje: zaufanie i wzajemne porozumienie. Chcę być dla moich dzieci nie tylko matką, której trzeba słuchać, lecz także serdeczną przyjaciółką.

„Betty"

Spotkania

POROZMAWIAJMY!

Właściwie tę moją stałą propozycję ponowiłem już przed tygodniem, żegnając razem z Wami odchodzący rok i życząc Wam i sobie wielu nowych udanych spotkań. Ale dziś, u progu Nowego Roku, w który wchodzimy ze wspólną nam wszystkim nadzieją, muszę przypomnieć, że nie będzie naszych spotkań bez naszych rozmów. Tylko ludzie zakochani w sobie, albo zupełnie sobie obojętni czy wręcz nienawidzący się nawzajem mogą wytrzymać wspólnie długie milczenie. Z różnych względów nie możemy być tymi pierwszymi, ale mam także nadzieję, że nie jesteśmy względem siebie i tymi drugimi, więc... Więc, porozmawiajmy!

Czy monolog może być rozmową? Wydaje mi się, że tak, stąd tak bardzo podobał mi się spotkany w czasie podróży po Armenii stary zwyczaj prowadzonej tam przez wiernych rozmowy z Bogiem: w wydrążonej w skale świątyni kamienne schodki prowadziły do skierowanego w niebo otworu-okna, gdzie siadał ktoś, kto w monologu-spowiedzi chciał z Bogiem porozmawiać o swoim życiu. Nie był mu potrzebny żaden pośrednik-kapłan. On sam w swej rozmowie sięgał tak wysoko. A w gruncie rzeczy rozmawiał przecież sam z sobą. Czy nie jest tak często i w naszych rozmowach, w których ktoś drugi – nawet wtedy, jeśli nie milczy – potrzebny jest nam raczej jako słuchacz, jako lustro, w którym odbijamy swe własne poglądy, jako katalizator, który je wyzwala.

Janusz Korczak w swym przedśmiertnym pamiętniku napisał:

„Mówiłem z ludźmi wiele: z rówieśnikami i wiele starszymi, dorosłymi. Miałem w Ogrodzie Saskim wiekowych partnerów. „Podziwiano" mnie. Filozof.

Rozmawiałem tylko sam ze sobą.

Bo mówić i rozmawiać nie to samo. Zmiana ubrania i rozbieranie się – to dwie różne czynności.

Rozbieram się, gdy jestem sam i rozmawiam, gdy jestem sam."

Więc dobrze. Nie rozmawiajmy ze sobą, po prostu – pomówmy! A i mówimy do siebie chyba coraz mniej... Język naszych rozmów zubożał do pojedynczych sylab, którymi odpowiadamy na pytania, do żargonowych i wulgarnych określeń, które są w stanie zastąpić każde pojęcie, do wytartych, niewiele znaczących sloganów, które mają pokryć często myślową pustkę. Nawet jeśli się czasem spotkamy towarzysko – po wielu zachodach ze znalezieniem wolnego terminu – to też zwykle „wkręci się" telewizja, w której akurat trzeba coś obejrzeć.

„Aby rozmowę z siebie wydobyć, trzeba na to myśleć, zastanawiać się i wejść w siebie, a myśleć nudno, zastanawiać się trudno, a wejść w siebie niebezpiecznie" – napisał w „Białych i czarnych chwilach życia" już przed blisko półtora wiekiem powieściopisarz i dziennikarz Józef Dzierzkowski.

Czyżby już wtedy trudno było o „długie nocne rodaków rozmowy"... Choć właściwie ostatnio to tak jakby jednak z tym łatwiej, skoro z rodakami rozmawiają na kotrowersyjne nawet tematy sami wicepremierzy...

Ale jeśli nawet prowadzimy mniej rozmów, to na brak dyskusji narzekać nie możemy. Tylko czy każda z nich spełnia wymagania, jakie jej stawiał dwadzieścia lat temu polski uczony, filozof i estetyk , prof. Roman Ingarden?

„Jeżeli dyskusja ma być istotnie owocna, musi przede wszystkim wypływać z rzetelnej wewnętrznej potrzeby wszystkich biorących w niej udział i być prowadzona przy zachowaniu wewnętrznej ich swobody. Ta wewnętrzna swoboda rodzi się z absolutnej rzetelności myślenia, ze szczerości wobec samego siebie i z nieustraszonego żadnymi okolicznościami dążenia do uzyskania wyjaśnienia spraw nie wyjaśnionych, a nieraz dogmatycznie na wiarę czy w oparciu o autorytet przyjmowanych".

Te zastrzeżenia Profesora dotyczyć mogą nie tylko prowadzonych gdzieś oficjalnych dyskusji, ale i naszych rozmów. Przeczytajmy je jeszcze raz pod tym kątem: czy chcemy rozmawiać, czy staramy się myśleć rzetelnie, czy jesteśmy szczerzy wobec siebie, czy rzeczywiście dążymy do ostatecznych wyjaśnień? Jeżeli tak, to porozmawiajmy, pomówmy, podyskutujmy...

„Cześć, stary! Jak leci? Dawno się nie widzieliśmy.
Eee, nic nowego. Wszystko po staremu.
Jak to? A Nowy Rok? Przecież on nie może być stary.
Jaki to tam nowy, kiedy znowu ma te same miesiące, tygodnie i dni.
No, masz rację, coś w tym jest. No to cześć, spieszę się bardzo.
Cześć, cieszę się, żeśmy sobie pogadali."

Cóż, można i tak, wykazując wyższość rozmowy kontrolowanej nad nie kontrolowaną. Kontrolowanej oczywiście już tylko przez samego siebie.
A czy można inaczej? Sądzę, że tak. Spróbujemy za tydzień.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Sposób na znalezienie przyjaciela

Może ten list pomoże wielu dziewczętom, czy nawet chłopcom, którzy znaleźli się w takiej sytuacji jak ja. Pragnę opowiedzieć historię mojego pierwszego kroku w nową, jakże piękną teraz przyszłość. Z wielu względów w tłumie ludzkim, wśród moich koleżanek i kolegów czułam się osamotniona. Nie mogłam, czy też nie potrafiłam, znaleźć z nimi wspólnego języka. Różnimy się bardzo. Ja – optymistka, melancholiczna, roztargniona, pragnąca się uczyć, by osiągnąć coś w życiu i wreszcie zmęczona; oni – ironiczni, nie przykładający się do nauki, otoczeni dyskotekami, spotkaniami (na które ja nie mam po prostu czasu). Jak widzisz, „RP", było mi ciężko. Wśród tej masy ludzkiej, wśród tylu ludzi dostrzegłam jednego, Tego, który moim zdaniem wówczas i teraz był tym, który zasługiwał na miano mojego przyjaciela. Słowem – moim marzeniem stało się nawiązać z nim bliższy kontakt. Tylko teraz powstało pytanie – jak to zrobić? Długo myślałam, aż wymyśliłam. Po prostu napisłam do niego list. Powiedziałam mu o swoich kłopotach i o tym, że chciałabym znaleźć w nim przyjaciela. Nadeszły długie chwile oczekiwania na odpowiedź. Stawiałam sobie pytanie jedno po drugim. Czy wyjdzie mi na przeciw? Czy nie omyliłam się, a jeśli tak, to jakie wynikną z tego konsekwencje? Czy mój list do niego stanie się „publiczną" tajemnicą, czy tylko jego własną? Czy wyciągnie do mnie dłoń? Następny dzień przyniósł odpowiedzi na te pytania. Dostałam listowną odpowiedź. I zrozumiałam, że nie była to moja pomyłka, że list ten oddałam w dobre ręce. Ten człowiek podał mi serdeczną dłoń. I odtąd mam już komu się zwierzyć, z kim porozmawiać. Pragnę, aby dzięki temu listowi dwoje innych ludzi odnalazło się w tym tłumie, by zaczęli widzieć świat w kolorowych barwach, tak jak ja. A jeśli komuś nie powiedzie się, oznacza to, że była to pomyłka, że to nie ten człowiek. Ale nie martwcie się, jest jeszcze tylu ludzi na świecie!

Sarna

Czy będzie to przyszłość kolorowa?

Nie będę się rozpisywać, chociaż sprawa jest dosyć ważna. Do mojej klasy chodzi chłopak. Na imię ma Grzegorz. Jest bardzo ładny, lecz straszny chuligan. Jego towarzystwo też pozostawia wiele do życzenia. Oprócz tego pali. Jestem bardzo dobrą uczennicą, lecz on też nie jest głupi. W młodszych klasach był nawet moim rywalem. Kiedy pierwszy raz powiedział mi, że chce ze mną chodzić, roześmiałam się tylko. Doszło do tego, że wystawał przed moim domem po trzy godziny dziennie. Znów mu odmówiłam. Za następnym razem było to samo. Miesiąc temu dowiedziałam się, że on znów chce ze mną chodzić. Obiecał mi, że będzie się uczył, że nie będzie palił i zerwie z dawnym towarzystwem. I w tym tkwi problem. Nie mogę się zdecydować na odpowiedź. Bardzo chciałabym mu pomóc, oderwać od dawnego życia, przychodziłby do mnie, razem uczylibyśmy się. Wszystko przedstawia się kolorowo, lecz czy dotrzyma słowa? Wiem, że ma taką zaletę, jak silna wola. Jak mam postąpić? Czekam na rady koleżanek i kolegów.

Ewa

OD REDAKCJI: Pilne! Mirosława Myszor ze Słupska! Nie możemy Ci odesłać zdjęcia Bruce'a Lee, ponieważ podałaś niedokładny adres (brakuje ulicy). Czekamy na list z dokładnym adresem; jeśli nie napiszesz nie otrzymasz zdjęcia. (bs)

Załatwić z samym sobą

CZAR OŚMIORNICY

Ośmiornica, łac. Octopoda, rząd z podgromady głowonogów dwuskrzelnych. Zagnieździła się w wyobraźni ludzkiej jako morski potwór, żarłoczny, podstępny, sięgający swymi długimi ramionami po zdobycz. W dawniejszych czasach wytrawni marynarze snuli w portowych tawernach krew mrożące opowieści o śliskich uściskach ramion ośmiornicy, oplatających bezbronne ofiary. O ludziach, którzy w morskich odmętach rozpaczliwie i bezskutecznie próbowali się wyrwać strasznej śmierci i o chwytliwych mackach sięgających po kolejnych skazanych... przed mackami ośmiornicy nie było ucieczki. Inaczej dziś wygląda wilk morski, inaczej portowa tawerna, a zła sława ośmiornicy przetrwała. Ona sama też.

Bywają osmiornice naziemne. Tak jak ich morskie słynne krewniaczki tworzą ze swych ramion sieć, z której nie sposób się wyplątać.

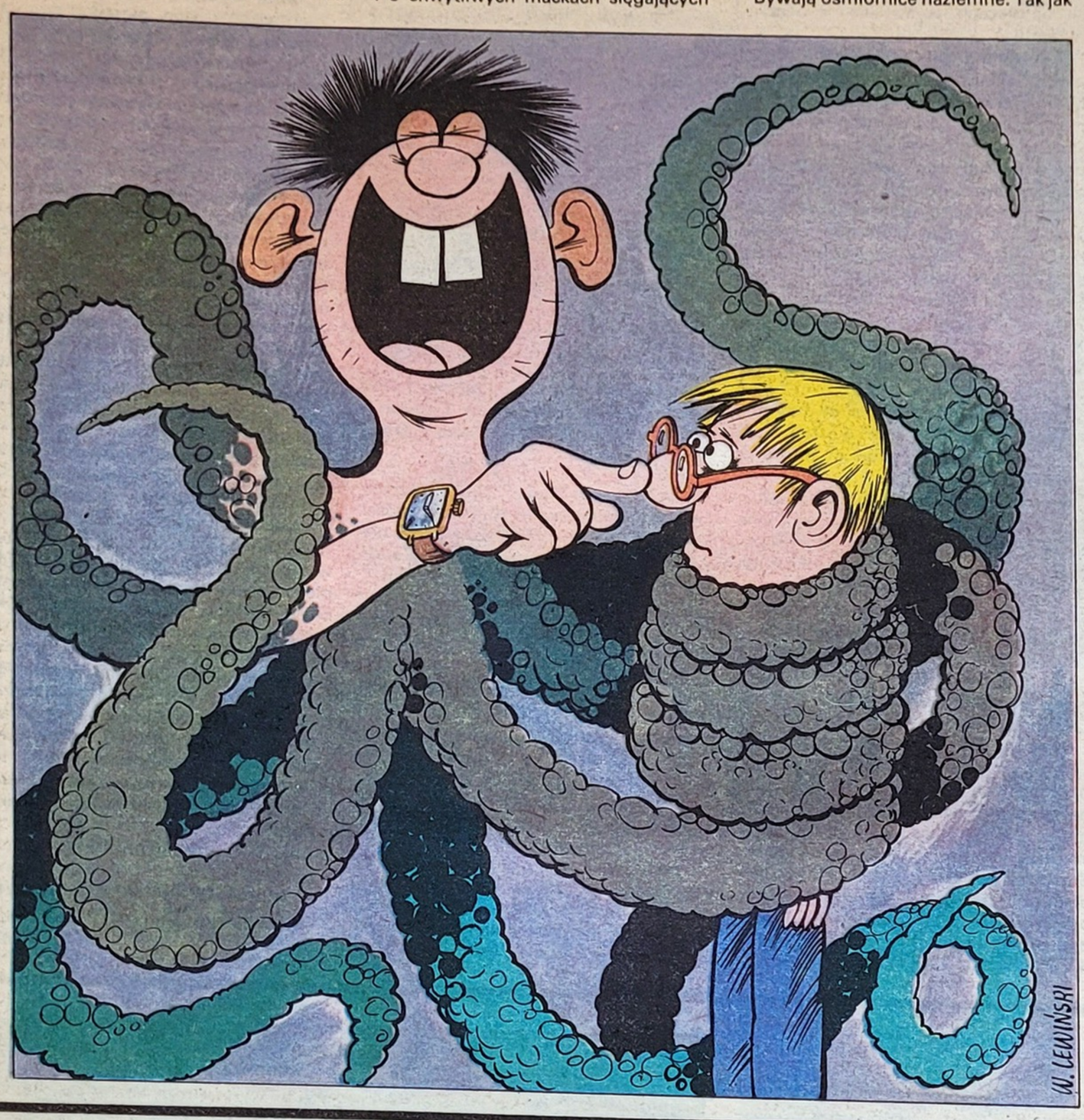

Zjawiska przyrodnicze często łatwiej dostrzega się pod mikroskopem lub przez lupę. Sięgnijmy więc po nią. Wyolbrzymi to co prawda nasz obiekt, ale za to go ostrzej dostrzeżemy.

Oto typ najpospolitszy – ośmiornica klasowa. Kiedy w klasie pojawia się ktoś nowy, pierwsza interesuje się nim właśnie ona. Ogląda go dokładnie i... wyrokuje o jego pozycji pośród kolegów, a więc, w pewnym sensie o jego losie.

– Ee, Gacek, coś taki przestraszony – mówi ośmiornica.

– Dlaczego Gacek? – dziwi się nowy. – Jestem Grzegorz. – Nie wie, że macka już go dotknęła...

– Żaden Grzegorz. Gacek! Obejrzyj w lustrze swoje uszy, nietoperzu.

Uszy Grześka czerwienieją. Zaplątana w sieć ośmiornicy społeczność przyjmuje wyrok. Jedni rechoczą przypochlebnie, inni milczą z niesmakiem. Ale kto zaprotestuje? Czy dziewczyna okrąglutka jak kulka, bojąca się jak ognia wytknięcia tej krągłości? A może ta druga, która się kocha tajemnie i bez wzajemności w pewnym chłopaku z VIII b i woli zjeść wannę znienawidzonego szpinaku niż objawić światu swe niepowodzenie? A może chłopak, który przez cały rok odrabiał za ośmiornicę zadania z matematyki, byle tylko móc stanąć w bramce choć raz, kiedy chłopcy grają w „nogę"? Grzegorz więc zostaje Gackiem, a jego uszy piętą Achillesa i celem macek ośmiornicy.

Ośmiornica decyduje o tym, że cała klasa idzie na wagary, choć większość tego nie chce, uważa za głupie i obawia się skutków tego wyczynu. Ale jak się jej przeciwstawić?

Ośmiornica dobiera sobie dworzan, a ci tworzą tzw. śmietankę klasową, elitę, „tych lepszych". I choć się jej nie lubi, każdy chętnie przyjmuje awans do elity. Jak to zrozumieć?

Dziewczyny się w niej nie kochają (lub chłopcy się w niej nie kochają, jeśli jest to ośmiornica żeńska), ale żadna nie odmówi „chodzenia". Czuje się nawet zaszczycona taką propozycją. Zabiega o nią.

Ośmiornica wyrokuje, który nauczyciel jest „do bani", a który „ujdzie", która dziewczyna jest „klasa", a na którą nie warto nawet spojrzeć. I te oceny są obowiązujące.

Jest wszechwładna. A przecież nie zawsze jest silna, nie zawsze bardzo inteligentna, nie zawsze obdarzona aktrakcyjną urodą. Czym więc zniewala? Chyba tym, że każdego owija oddzielnie jednym ze swych ramion. A ci, którzy pozostali poza zasięgiem jej macek, patrząc na uwikłanie kolegów, wierzą w moc ośmiornicy. Ulegają jej niepokojącemu czarowi. Ośmiornica wydaje się fascynująca.

Czyżby ośmiornica składała się z samych wad? Ależ skąd. Jest lojalna wobec swojego dworu. Nie dopuści, by ktoś z jej otoczenia padł łupem innego drapieżnika, a chronieni mackami ośmiornicy czują do niej wdzięczność.

Ośmiornica klasowa bywa dobrym uczniem i wtedy wszystko wie najlepiej, nawet wtedy, kiedy nie wie. I dlatego w jej obecności nie można mieć własnego zdania.

Bywa dowcipna. I choć jej dowcip jest kłujący, zdobywa poklask i uznanie.

Ile jest jej gatunków? Kto to policzy. Może się pojawić w każdym środowisku, w każdej dziedzinie życia. W szkole, w pracy, w nauce i polityce – wszędzie. Wystarczy uważnie rozejrzeć się wokół, by ją dostrzec.

Odłóżmy lupę, zajrzyjmy do encyklopedii. Z haseł w niej zamieszczonych wynika, że ośmiornica nie ma w ogóle ramion chwytnych, charakterystycznych dla... dziesięciornic. A dziesięciornica, z kolei, to gatunki od drobnych, mających długość zaledwie jednego centymetra, do olbrzymów osiągających wraz z ramionami długość 17 m. Do tych olbrzymów należą kalmary. Zaraz, zaraz... skąd je znamy? Ależ tak, z lad sklepów rybnych. Leżą w wielkich pojemnikach zamrożone, białawe rulony, a koło nich kartka papieru głosząca: „Kalmary w ciągłej sprzedaży". I tak czar prysnął.

Warto to chyba przemyśleć z samym sobą. Szczególnie, gdy się czuje, jak lepka macka odbiera odwagę wypowiadania własnego zdania.

EWA DROBNIK

PS. Przyznaję się uczciwie, że pomysł do podjęcia tego tematu podsunęła mi Agnieszka Dębiec z Krakowa, która trzy lata temu wzięła udział w naszym literackim konkursie „Złotej Ostrogi". Tytuł jej pracy brzmiał właśnie tak: „Czar ośmiornicy". Nie mogłam się oprzeć pokusie i pożyczyłam go od Agnieszki.

Wybraliśmy dla Was z „Tiechniki Małodioży"...

Tajemnice piorunów kulistych (I)

BLISKIE SPOTKANIA Z OGNISTĄ KULĄ

Jeszcze jedna niewyjaśniona zagadka. Droga przejścia pioruna kulistego przez szybę, przypomina ślad pozostawiony przez miniaturowy pocisk. Średnica otworu wejściowego wynosi zaledwie 1,5 milimetra, a wyjściowego jest 18-krotnie większa!

– W sierpniu 1978 roku z całą rodziną spędzałem urlop na Przesmyku Karelskim w rejonie Sosnowa – rozpoczyna swoją niezwykłą relację radiotechnik Asonow. *– Mieszkaliśmy w namiotach nad brzegiem jeziora. Pewnego ciepłego dnia w końcu miesiąca niebo szybko zakryła ciemna chmura. Znacznie się ochłodziło i zaczął padać gruby grad. W pewnym momencie nad moją głową rozległ się grzmot. To piorun uderzył w piorunochron zamocowany na wysokiej sośnie. Z miejsca jego połączenia z ziemią wydostał się jaskrawy płomień, przyjmujący formę... kuli o średnicy 12–15 cm! Początkowo czerwony, a następnie biało-żółty, powiększył się dwukrotnie, promieniując oślepiająco białym światłem, jaśniejszym niż 20 KW ksenonowa żarówka. Nagle kula uniosła się na wysokość ok. 1,30 m „żeglując" w moją stronę. I wtedy zrozumiałem: to jest piorun kulisty!*

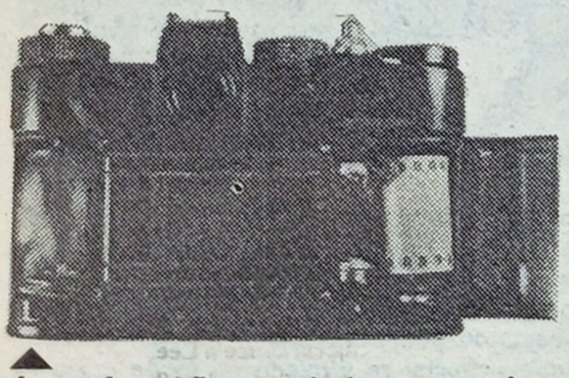

Aparat fotograficzny uszkodzony przez piorun kulisty

Nadtopione szkło wziernika

Kiedy oślepiający „balonik" przybliżył się do mnie na odległość 5 metrów, podniosły mi się włosy na głowie! Natomiast włosy na rękach i piersiach skierowały się w stronę pioruna tak, jak to zdarza się przy regulowaniu aparatury będącej pod wysokim napięciem. Sytuacja stawała się dramatyczna. Od piersi w stronę kuli zaczęły przebiegać niteczki elektrycznych rozładowań. Na szczęście piorun minął mnie w odległości 3–4 metrów. Wyraźnie widziałem, że jaskrawo świecąca centralna część otoczona była jakąś cienką powłoką, wokół której świeciła promienista aureola o grubości 3–5 cm. Pociemniało mi w oczach. Wzrok wrócił do normalnego stanu dopiero po 3 tygodniach, ale oczy musiałem leczyć jeszcze dwa miesiące...

Piorun przeleciał również obok stojącego na statywie aparatu fotograficznego „Zenit". Minął go w odległości ok. 50 cm, i z szybkością piechura skierował się w dół, w stronę jeziora, jakby „spacerując" wzdłuż wijącej się ścieżki.

Zewnętrzna strona aparatu nie została prawie naruszona. Nadtopiona była jedynie masa plastyczna na pokrętle i detalach statywu. Zewnętrzne uszkodzenia są zupełnie zrozumiałe. Lecz dlaczego zniszczone zostały niektóre wewnętrzne części aparatu? Zdeformowaniu uległy: kaseta, szpula, błona filmowa, matówka. Eksperymentalnie stwierdzono potem, że podobne uszkodzenia powstają w temperaturze 150–300°C. Lecz jak mogło nastąpić tak błyskawiczne nagrzanie wewnętrznych części aparatu, w krótkim przecież czasie przelotu pioruna – nadal pozostaje tajemnicą.

Już na początku naszego wieku uczeni przypuszczali, że piorun kulisty składa się z jonów gazów atmosferycznych lub jonów wyparowanego metalu, naładowanych jednoimiennym ładunkiem. Trzymając się tej koncepcji łatwo jest wyjaśnić przemieszczanie się ognistej kuli zgodnie z kierunkiem wiatru. Unosi się ona w powietrzu podobnie jak chmury czy balon, gdyż gęstość jej zbliżona jest do gęstości powietrza. Jednak piorun kulisty może się także poruszać pod wiatr, ponieważ na kierunek jego ruchu wpływ ma także pole elektryczne, które współdziałając z ładunkami w kuli, przezwycięża siłę wiatru.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Saltem przez życie (1)

CYRK SIĘ RODZI...

Trudno obecnie o dokładne ustalenie okoliczności narodzin cyrku. Wiąże się to z małą ilością dokumentów mówiących o tym rodzaju sztuki, jak również z brakiem rzetelnego zapisu kronikarskiego. Wiadomości związane z historią cyrku trzeba więc wyłuskiwać z opisów innych wydarzeń, gdzie między wierszami możemy dowiedzieć się o grupach ludzi popisujących się odwagą, zręcznością oraz wykonywaniem karkołomnych skoków. Stąd wiadomo, że elementy cyrkowe występowały już przeszło 3000 lat p.n.e. **w Chinach**, a związane były z..., pracą rzemieślników! Oto na przykład przy wyrobie lin żeglarskich zachodziła potrzeba sprawdzania ich wytrzymałości. W tym celu rozciągano ją na dwóch kozłach kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, po czym kilku ludzi podtrzymywanych za ręce przez współtowarzyszy wchodziło na nią – sprawdzając w ten sposób jej jakość. Przy dalszych próbach ludzie balansując ciałem starali się chodzić po niej samodzielnie. Odważniejsi i bardziej sprawni potrafili biegać, siadać, a nawet wykonywać proste skoki. Również zbieracze owoców starali się usprawnić swoje monotonne zajęcie. Początkowo do pracy przydzielano dwóch ludzi: jeden stał na bambusowej drabinie z naczyniem w ręku, drugi na ziemi trzymając mocno chybotliwą konstrukcję obiema rękami, starał się utrzymać ją w równowadze. Ale sprawność tego na drabinie doszła z czasem do takiej precyzji, że balansując odpowiednio ciałem, potrafił obywać się bez pomocnika. Mało tego! Nauczył się nawet tak manipulować korpusem, że stojąc na szczycie drabiny, wędrował zręcznie od drzewa do drzewa.

Okazją do zaprezentowania zdumionym gapiom swych niebywałych umiejętności było święto urodzaju. A że te małpie popisy spodobały się wkrótce i innym, rozpoczęto rywalizację w odwadze i zręczności. Czegóż tam nie było! I skoki przez noże, i przez płonącą obręcz. Niektórzy potrafili rzucać do góry dwa, trzy naczynia i łapać je jednocześnie. Inni znowu kładli się na plecach, podrzucając te naczynia nogami.

Z kolei na Krecie 1500 lat p.n.e. organizowano zabawy akrobatyczne z... bykami. Młodzi, odważni i zręczni chłopcy potrafili rozpędzonego byka chwycić na kilka sekund za rogi, po czym wykonać w powietrzu piruet lub salto-mortale. Była to jednakże zabawa ogromnie ryzykowna, albowiem najmniejsze nawet uchybienie, nieudany skok, upadek – kończyły się tragicznie dla nieszczęśnika. Rogi rozpędzonego byka niczym ostra szabla cięły pierś chłopca, dla którego nie było już ratunku. Te heroiczne popisy ludzkiej fantazji i odwagi zostały uwiecznione na malowidłach ściennych, które przechowały się do naszych czasów pod nazwą „freski torreadorów". I stąd właśnie możemy wnioskować, że na wiele lat przed naszą erą znane były i wykonywane elementy cyrkowe.

W starożytnej Grecji natomiast odbywały się uroczystości ku czci boga Dionizosa – boga wina i urodzaju, ekstazy, obfitości i bujności żywotnych sił natury. Miały one charakter zabawy ludowej, gdzie we wspólnym kręgu tanecznym pasterze, rybacy i chłopi, pijąc, tańcząc i śpiewając, oddawali hołd swojemu bogu. Ludzie, demonstrując tu swoje możliwości taneczne oraz siłę głosu, potrafili także popisywać się skokami, zręcznością i odwagą. Wśród tłumów można było spotkać klownów, akrobatów. Przybierali oni różne ucieszne pozy, wykonywali zabawne skoki, wyśmiewając się wzajemnie ze swojej udawanej niezgrabności, szydzili z łysych, przebierali się za kobiety. Stosowali też różne komiczne tricki, jak oblewanie się wodą, tarzanie w mydlanej pianie czy obsypywanie opiłkami lub pudrem. Dochodziło między nimi do głośnych sporów i fingowanych bójek.

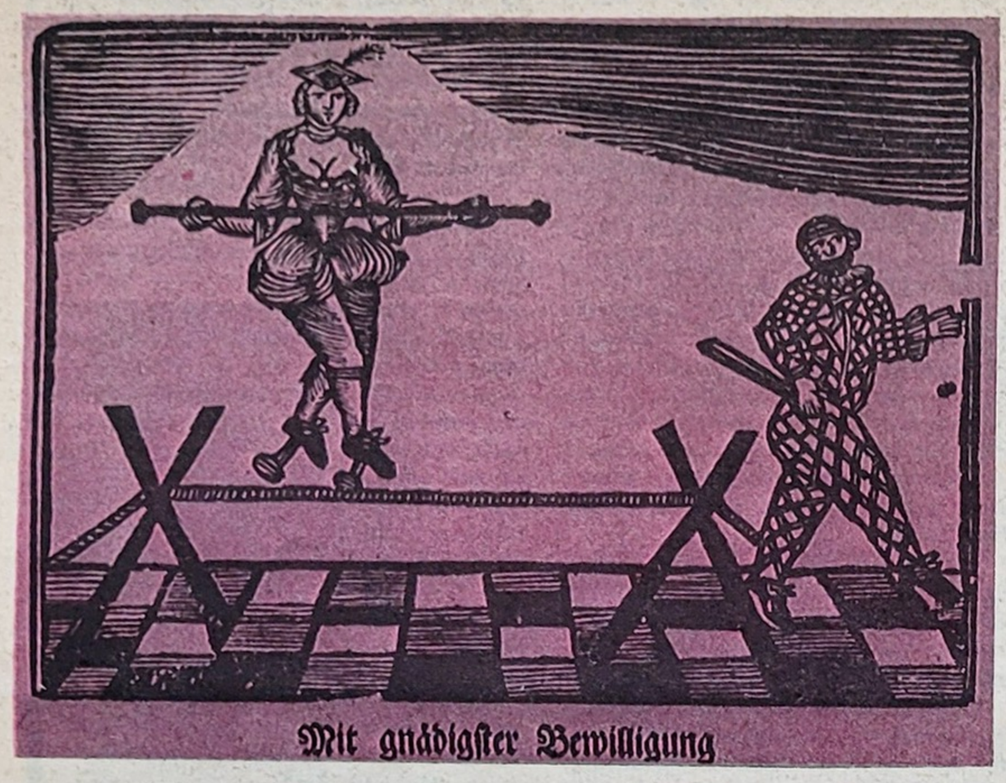

Ascetyczne i ponure średniowiecze nie stroniło bynajmniej od igraszek i zabaw po zajazdach, odpustach i jarmarkach. Oto popis równowagi i zręczności na drągu

Ćwiczenia akrobatyczne i zabawy z piłką w wykonaniu starożytnych Egipcjan – tak właśnie wyglądały prapoczątki sztuki cyrkowej

Śmiech i niewybredne żarty z bliźnich były jednym z prawideł tych uroczystości i nikt nie czuł się tutaj urażony, gdyż nie brano tego typu poczynań na serio. Żartowano ze wszystkiego i ze wszystkich – takie było prawo karnawału. Grecy ponadto twierdzili, że po sposobie tańca można poznać charakter człowieka i jego wewnętrzne przeżycia, stąd te wielogodzinne popisy taneczne w pełnej ekstazie, prowadzące w efekcie do kompletnego wyczerpania tancerzy.

Był również czas na mierzenie się w walce. Popularnością cieszyły się biegi z pochodniami w rękach, wyścigi na toczących się beczkach czy podnoszenie ciężkich kamieni. Bardziej sprawni fizycznie popisywali się skokami przez obręcz wypełnioną nożami lub płonącą – trzymaną przez partnera. Znano także balansowanie rozmaitymi przedmiotami, na przykład strzałami i nożami. Balansujący stawiał sobie ostrze noża na czole i zachowując równowagę potrafił zrobić z nim pełny obrót, następnie usiąść i wstać nie dotykając ani razu noża ręką.

Ludzie często przebierali się za różne zwierzęta – przeważnie jednak występowali pod postacią kozła, który symbolizował patrona święta – boga Dionizosa. Odziani w skórę zwierząt improwizowali krótkie scenki, utwory na kształt dzisiejszych skeczy (nazywano ich mimami, od greckiego rzeczownika mimas, oznaczającego naśladowanie głosów natury jak śpiew ptaków, szum morza, czy głosy zwierząt). Z czasem scenki te stawały się coraz dłuższe i posiadały tekst pisany. Występujący w nich aktorzy oprócz umiejętności tańca i śpiewu, byli bardzo sprawni fizycznie, albowiem w ich grze ruch ciała i jego plastyka odgrywały ogromną rolę. Nieobce im były również umiejętności akrobatyczne i zdolności ekwilibrystyczne, a w późniejszym czasie tajniki żonglerki. Występy pantomimy cieszyły się wielką popularnością wśród zebranego na placach, zaciekawionego tłumu gawiedzi. Ponieważ w treści pantomimy często występowały elementy cyrkowe, sprawnie wykonywane przez aktorów tych przedstawień – stąd możemy mówić o narodzinach i popularyzacji sztuki cyrkowej. Słowo cyrk pochodzi od łacińskiego circus czyli krąg. Popisom cyrkowych występów służy bowiem okrągły plac nazywany areną o średnicy 11–13 metrów. W starożytnej Grecji nie nastąpiło jeszcze wyraźne wyspecjalizowanie się tego gatunku sztuki, ale zaistniała możliwość jej narodzin i szanse dalszego rozwoju. Wyznaczenie odpowiednich miejsc do występów i budowa aren w Rzymie pozwoliła na dynamiczny rozwój cyrku, chociaż tendencje i charakter jaki został mu nadany, nie stawiał go, niestety, w rzędzie sztuki. Krwawy Rzym, żądny niezdrowych podniet, a nade wszystko krwi i śmierci, zaczął tworzyć ciekawą i burzliwą historię cyrku. Historię, która, tłamszona z różnych powodów przez następne stulecia, wybuchła nagle z podwójną siłą w XVIII wieku, wiodąc swój żywot po dzień dzisiejszy, fascynując i przyciągając w sposób niepojęty tłumy widzów pod cyrkowy namiot. I tak oto niespostrzeżenie wykonaliście swoje pierwsze salto, pierwsze wtajemniczenie w świat cyrku.

Ciąg dalszy nastąpi...

MICHAŁ CHMIELEWSKI

Repr. wg *Artisten und Zirkus Plakate*
M. Szymański

„A MOŻE JEDNAK COŚ CIĘ INTERESOWAŁO?"

CO DALEJ ÓSMA KLASO

czyli o egzaminach wstępnych do szkół średnich

Liceum Poligraficzne w Warszawie, 26 czerwca 1982 roku. Trwają właśnie egzaminy ustne – ostatnia szansa dla tych, którzy słabo zdali pisemne. W pracowni chemicznej za długim stołem siedzi trzech profesorów. Dzisiaj odbywa się egzamin z chemii, przedmiotu, który dla przyszłych poligrafów jest ważną dziedziną wiedzy. Przed komisją egzaminacyjną chłopak ubrany w dżinsy, adidasy, kolorową kurtkę.

– Lubiłeś w szkole chemię? – pada pytanie.

– Nie, nie lubiłem – odpowiada szczerze egzaminowany.

– Czemu?

– Bo nic nie rozumiałem.

– A może jednak coś cię interesowało z chemii? – pyta pani profesor.

– Tak, rozpad cząsteczek na jony.

Rozpoczyna się długa i dość żmudna, ze względu na nikłą wiedzę egzaminowanego, rozmowa. A właściwie jest to monolog pani profesor. Chłopak od czasu do czasu coś bąknie – raz mu się uda dobrze odpowiedzieć, raz nie.

– A jakie znasz metale? – cierpliwie pyta pani profesor. – Wypisz na tablicy ich symbole. Chłopak poci się, drapie w głowę, coś napisze, coś zmaże.

– Czy robiliście doświadczenia ze spalaniem opiłków żelaza?

– Nie, nie przypominam sobie.

– No cóż, dziękujemy ci. Poucz się w domu chemii. Spotkamy się po wakacjach.

*

Ostatni dzień egzaminów. Wielu kandydatów jest już po emocjach. Znają wyniki, wiedzą, że są uczniami Liceum Poligraficznego. Na korytarzu spotykam dwie dziewczyny. Pytam czy zadowolone są z egzaminów.

– To dobrze, że są egzaminy wstępne – mówi Grażyna. – Miałam dużo trójek na świadectwie, co zamykało mi drogę do liceum. Teraz dano mi szansę i wykorzystałam ją. Za późno jednak dowiedzieliśmy się o egzaminach. O chemii dowiedziałam się dopiero w maju. To jest za mało czasu, żeby powtórzyć solidnie program.

– Nauczyciele w szkole podstawowej pomagali nam jak mogli – mówi Agata. – Zorganizowano dodatkowe lekcje z przedmiotów egzaminacyjnych. Myślę, że uczniowie, którzy będą zdawać w przyszłym roku, są w dużo lepszej sytuacji, bo już od września mogą się zabrać za powtarzanie programu.

*

W pracowni egzaminy jeszcze trwają. Profesorowie cierpliwie zadają pytania, uczniowie próbują na nie odpowiadać. Nie wyczuwa się atmosfery napięcia czy zdenerwowania. Tegoroczne egzaminy wstępne są przez obie strony traktowane dość ulgowo. Wszyscy wiedzą, że czasu było zbyt mało, że miesiąc na powtórzenie programu nie wystarczy.

* * *

Egzaminy wstępne do szkół średnich są dzisiaj odległym wspomnieniem. Jak nauczyciele oceniają potrzebę przeprowadzania tych egzaminów po trzech miesiącach nauki? Czy widzą różnicę w poziomie wiedzy tegorocznych klas I? Odwiedzam ponownie Liceum Poligraficzne w Warszawie, aby zadać nauczycielom te pytania.

Dyrektor Liceum Poligraficznego: W tym roku wprowadziliśmy w naszej szkole tak zwany półokres. Wystawione oceny pomogły nam zorientować się, jaki jest poziom wiedzy pierwszych klas, gdzie są kłopoty i problemy. I cóż się okazało? Otóż o wiele lepsza niż w poprzednich latach jest frekwencja. Uczniowie pierwszych klas prawie nie wagarują. Sądzimy, że wpłynęły na to właśnie egzaminy wstępne, w czasie których wiele osób uświadomiło sobie braki w posiadanej wiedzy oraz konieczność jej uzupełnienia.

Poziom wiedzy uczniów nie jest jednak zadowalający. Proszę sobie wyobrazić, że zdarzają się wypadki nieznajomości tabliczki mnożenia. Czy taki uczeń miał prawo otrzymać świadectwo ukończenia szkoły podstawowej? Ortografia jest także skandaliczna. Nie oskarżam w tym momencie uczniów. Uważam, że jest to wynik przeładowania programu nauczania i niestety, z przykrością to mówię o swoich kolegach, złej pracy nauczycieli.

Nauczycielka chemii: Z przerażeniem stwierdzam, że uczniowie klas I nie mają podstawowej wiedzy z chemii. Mylą pojęcia, robią błędy merytoryczne. Okazuje się, że te błędy powtarzają za swoimi nauczycielami ze szkół podstawowych. Jak uczeń może poznać dobrze przedmiot, gdy nauczyciel często sam nie orientuje się w programie, który ma do zrealizowania. Dowiaduję się od uczniów, że ci ambitniejsi wkuwali podręczniki na pamięć, a nawet uczyli się na pamięć zadań.

Wydawało się, że egzaminy wstępne dadzą możliwość wybrania najlepszych uczniów. Niestety nie było w czym wybierać. Trzy miesiące nauki potwierdziły moje podejrzenia, jakich nabrałam w czasie egzaminów, że te dzieciaki są po prostu nie przygotowane. Powtarzam teraz z nimi materiał ze szkoły podstawowej. Miałam nadzieję, że właśnie egzaminy wstępne będą momentem dopingującym nauczycieli i uczniów do rzetelnego powtórzenia programu. Ale tak się nie stało.

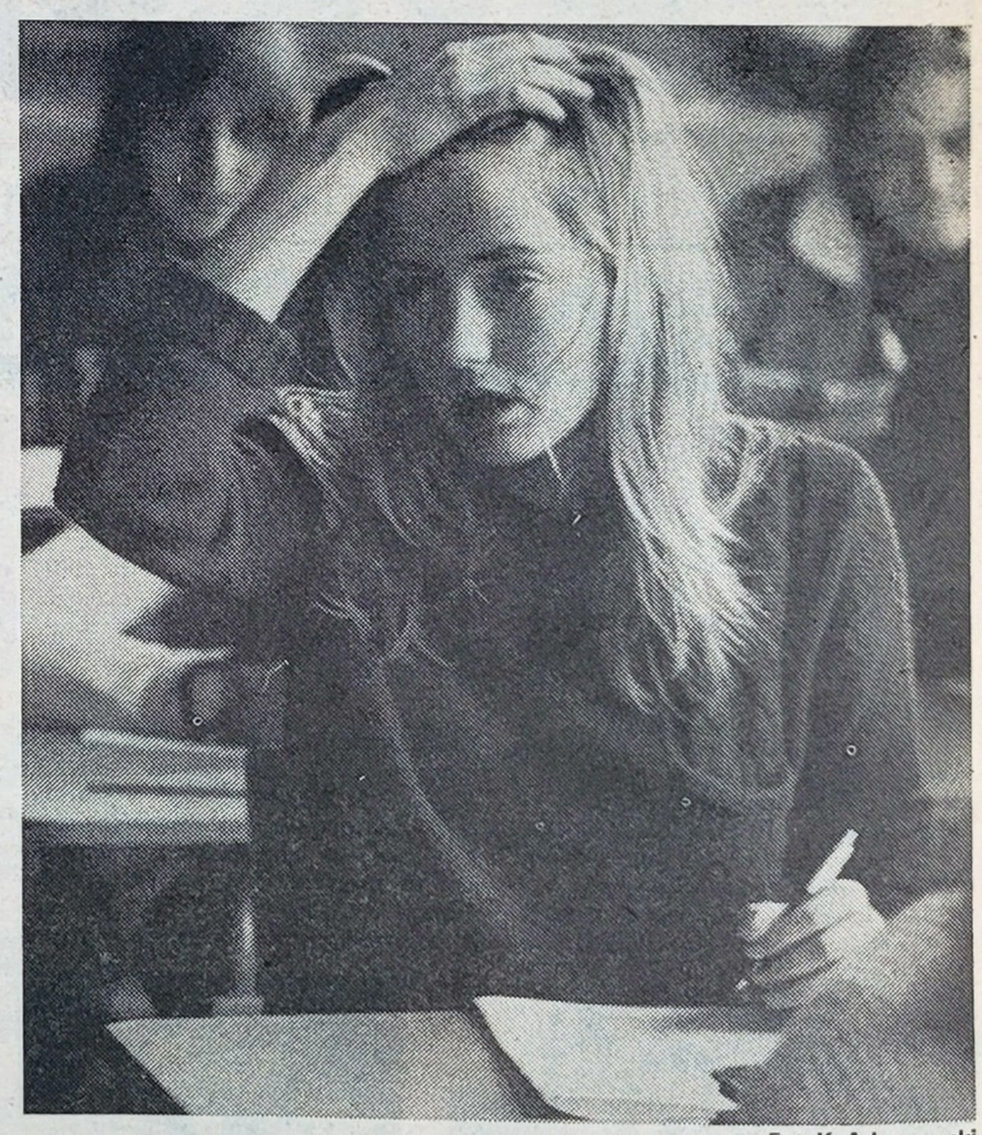

Fot. **K. Adamowski**

No cóż, chyba komentarz redakcyjny jest zbędny. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że tegoroczni kandydaci do szkół średnich będą lepiej przygotowani do podjęcia nauki w nowych szkołach, choćby ze względu na to, że czasu na powtarzanie materiału jest o wiele więcej.

HANNA MIERZEJEWSKA

PRZECZUŁ, PRZEWIDZIAŁ I W DZIEŁACH SWOICH ZOSTAWIŁ...

W sporej gromadzie chłopców, którzy jesienią 1879 roku przekroczyli pierwszy raz progi jednej z najstarszych polskich szkół średnich – Gimnazjum Nowodworskiego w Krakowie – można było spotkać delikatnego, spokojnego chłopca o jasnych włosach i głębokim spojrzeniu bystrych, niebieskich oczu, na którego koledzy wołali „ciocia". „Ciocia", gdyż zawsze powoływał się wobec nich na zdanie swej ciotki – Janiny Stankiewiczowej, która przygarnąwszy do siebie osierocone dziecko, nie szczędziła mu swej troski i starań. Pomagał jej w tym mąż, urzędnik Kasy Oszczędności, wielokrotnie więziony za udział w spiskach niepodległościowych, bibliofil i esteta, w którego domu stałymi bywalcami byli prawie wszyscy wybitni ludzie ówczesnego Krakowa, a najczęstszym – mistrz Jan Matejko.

Chłopcem chowającym się w tym zacnym i światłym domu był Stanisław Wyspiański. Ponieważ był z natury swej wątły, po maturze wujostwo wyprawili go – dla odprężenia – w galicyjski plener. Rysował stare domy, kościoły i nagrobki. Rysował dokładnie, znakomitą techniką. Widać zdolności odziedziczył po ojcu – rzeźbiarzu.

Zapisał się do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – na wydział antyków. Potem studiował malarstwo i kompozycję. Szybko ujawnił się jako niezwykle uzdolniony uczeń. Potwierdził to sam Matejko, powołując go w 1888 roku do robót dekoracyjnych w Kościele Mariackim. Powierzył mu wykonanie rysunków kalkowych z kartonów przez siebie wykonanych. Uczeń wywiązał się z zadania znakomicie. W ten oto sposób powstała jedna z najwspanialszych w kraju polichromii, do dziś podziwiana przez wszystkich. Wyspiański studiował również historię oraz historię sztuki i literatury na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Może jednak nie był pewien swego malarskiego powołania? Tak czy inaczej, sukces jaki odniósł w pracy nad polichromią – rozstrzygnął o kierunku jego studiów i pracy. Wkrótce potem wyjechał do Wiednia, stamtąd kolejno do Włoch, Szwajcarii i Francji. W niedługim czasie, po powrocie z tej wielkiej wyprawy, otrzymał stypendium im. Matejki przyznawane najzdolniejszym studentom na studia zagraniczne. Znów wyjechał do Paryża. Zaczął się okres nowych studiów, uzupełnianych wędrówkami po muzeach i wystawach. Fascynowali go impresjoniści i sztuka japońska. W gruncie rzeczy – poza techniką – niczego jednak od nikogo nie przejął, żadnej szkole, żadnemu kierunkowi nie uległ. Chciał być sobą i pozostał sobą, co bynajmniej nie wróżyło mu rychłego uznania u współczesnych. Przyszły niepowodzenia.

Jury konkursu na dekorację gmachu „Rudolfinum" w Pradze odrzuciło jego projekty.

W konkursie na kurtynę dla teatru im. Słowackiego w Krakowie, w którym wziął udział, nie nagrodzono jego pracy.

Zostały odrzucone kartony witraży do katedry lwowskiej.

Nie znalazły również uznania obrazy przesyłane na wystawy w Krakowie i Warszawie.

Zapewne pod wpływem tych niepowodzeń chwycił za pióro. Napisał swój pierwszy utwór „Śluby Jana Kazimierza". Przesłał go do krakowskiego „Czasu", a następnie do warszawskiego „Świata". Oba pisma zbyły go milczeniem.

Do Krakowa wrócił w 1894 roku. Znajdował się w kiepskiej sytuacji materialnej. I oto niespodziewanie powierzono mu wykonanie polichromii kościoła franciszkanów. Wkrótce prezbiterium jednej z najstarszych świątyń krakowskich wypełniło się kwiatami, bujną zielenią, alegorią wyrażającą miłość i sceną strącenia zbuntowanych aniołów... Powstało dzieło na skalę europejską – jedno z najwspanialszych w naszej sztuce dekoracyjnej. Wyspiański zostaje członkiem krakowskiego Towarzystwa Artystów „Sztuka". Zaczyna wystawiać swe prace wśród najwybitniejszych polskich malarzy, jednak jego nazwisko krytycy wciąż omijają, nie wiedzą co począć z tak dziwnym i nietypowym artystą. Zaczyna pisać wiersze ... i dramaty. „Warszawiankę" wystawia na krakowskiej scenie – niestety, nie wywołała większego zainteresowania. Z obojętnością spotkały się „Protesilas i Laodamia", „Klątwa" i „Lelewel". Przyszły wprawdzie pierwsze wzmianki w gazetach, ale nadal był bez pieniędzy. Obrazy sprzedawał z trudem. No i zaczęła się choroba, której nabawił się w Paryżu. Powtarza się w listach z 1895 roku dramatyczne westchnienie udręczonego twórcy: *„Ach, żebym raz się poza siebie mógł wydostać. (...) Ale jak tu się wyrwać poza samego siebie. Ja już byłem tego tak bliski w Paryżu, i znów zapadłem w senność w Krakowie. Chciałbym koniecznie raz wyjść poza samego siebie, przykrzy mi się we mnie".*

Rozpoczyna się nowy wiek. A rok 1901 okazuje się przełomowy w życiu malarza i poety. Na weselu przyjaciela, znanego już poety – Lucjana Rydla rodzi się koncepcja, a w kilka miesięcy powstaje wielki dramat, który poruszył cały kraj. Tu i ówdzie zaczęto nazywać jego autora wieszczem, „mickiewiczowskim czterdzieści cztery", prorokiem prowadzącym naród ku ziemi obiecanej, niemal magiem, którego czarodziejskie słowo skruszyć może ciemności i niewoli pęta... „Wesele" nie schodziło z afisza. Grane było w teatrze przy wypełnionej po brzegi sali. A wkrótce potem rozpoczął się wielki, triumfalny pochód sztuki przez wszystkie sceny Polski. Stanisław Wyspiański został uznany. Teraz już zacznie odnosić prawie same sukcesy.

Z cyklu główek dziecięcych – Józio Feldman...

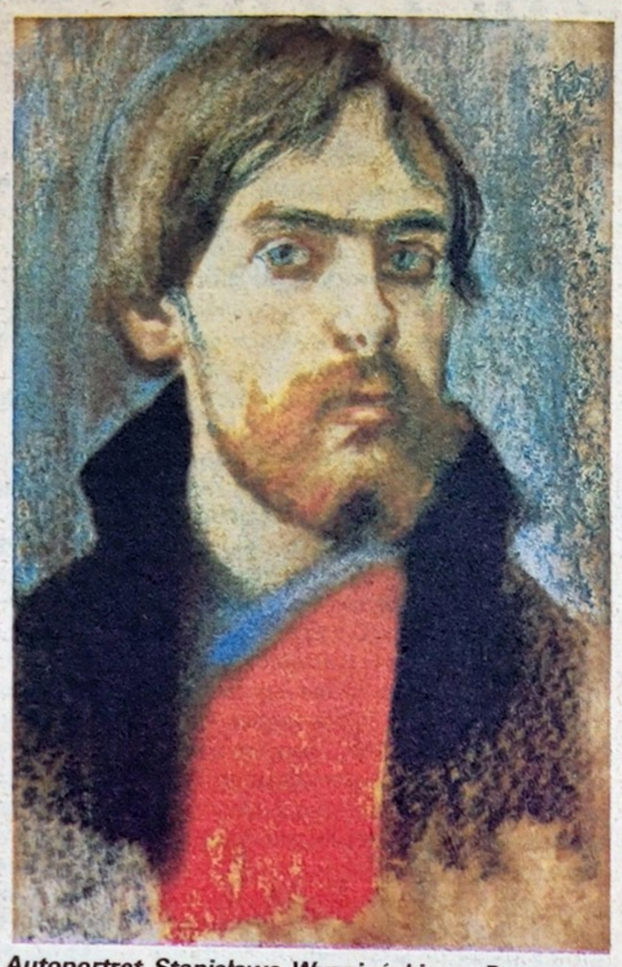

Autoportret Stanisława Wyspiańskiego. Poeta, malarz i dramaturg miał wtedy 26 lat

„Stań się" (Bóg Ojciec) – projekt witraża do kościoła oo. franciszkanów w Krakowie

Oczywiście można by powiedzieć, że piszę o Stanisławie Wyspiańskim z okazji niedawnej 75 rocznicy Jego śmierci, bądź równie niedawnej uroczystości odsłonięcia Jego pomnika w Krakowie. Ale byłaby to prawda tylko częściowa. Wyspiański dostarcza nam bowiem takich okazji znacznie częściej – jest po prostu obecny w naszym życiu na co dzień: w lekturze szkolnej, w teatrze, literaturze, malarstwie i w naszym potocznym języku, odwołującym się jakże często do aforyzmów z „Wesela" lub „Wyzwolenia". Nie trzeba więc okazji, by jeszcze raz postać tę przypomnieć, by zadumać się nad jej nieprzemijającą wielkością. O życiu Wyspiańskiego napisano wiele wspomnień i zebrano mnóstwo anegdot. Ale pozostaje ono nadal niezwykłym i w pełni niezbadanym fenomenem. Poeta żył tylko 38 lat. Umierał w wieku, gdy wielu artystów zmierza dopiero do pełnej świadomości twórczej i ma jeszcze przed sobą największe dzieła życia.

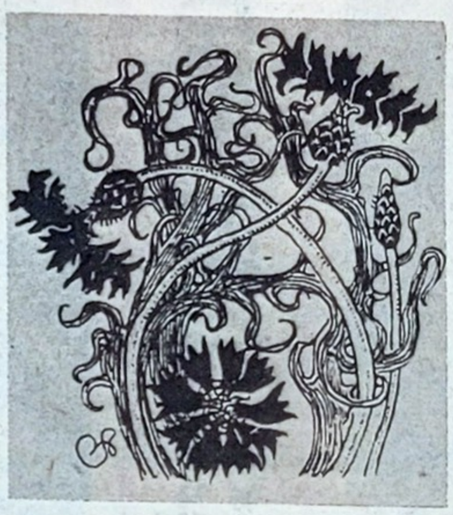

Pisał swoje dramaty przeważnie gęsim piórem, na oddzielnych kartkach, nie troszcząc się o porządek scen. Zaczynał pisać dopiero wówczas, gdy miał w głowie cały plan sztuki, a osoby dramatu „zaczęły gadać". Ale ostateczną formę nadawał utworom już w czasie druku na odbitkach szpaltowych, dopisując na osobnych kartkach objaśnienia ruchów, gestów i zachowania osób dramatu, tak ważne dla dzisiejszych inscenizatorów.

Wszechstronność zainteresowań artystycznych, historycznych i filozoficznych Wyspiańskiego, ich realizacja w ciągu tak krótkiego życia, wprawia w najprawdziwszy podziw nas, ludzi atomowego wieku, przyzwyczajonych do widzenia uczonych i artystów w ciasnych ramach ich wąskich specjalności. Uznają w nim swego mistrza plastycy, zapatrzeni w wizję witrażowych obrazów i w kolorystykę płócien, widzą w nim niedoścignionego wzór ilustratorzy książek, graficy i drukarze oraz projektanci mebli i wnętrz z „Ładu". Mają w nim dziś swego patrona ludzie teatru; reżyserzy, scenografowie, inscenizatorzy, usiłujący za przykładem Leona Schillera realizować ideę „teatru ogromnego".

Trudno wprost pojąć, jak jeden człowiek potrafił ogarnąć swoim umysłem i zdolnościami tyle dziedzin, wykazując w każdej z nich nieprzeciętny talent.

HANNA SZOF
Fot. **archiwum**

SDK MSM STARÓWKA
GROTEKA
WARSZAWA
tel. 36 27 49

Zagraj razem z nami (4)

OTELLO (REVERSI)

Ta gra zdobyła na świecie gigantyczną popularność. Grywają w nią miliony ludzi, chwaląc sobie z jednej strony jej prostotę, z drugiej – walory intelektualne. Pochodzi z końca XVIII w. W Anglii znana jest pod nazwę **reversi** a jako **otello** – przede wszystkim w Japonii. Tam właśnie 10 lat temu opracowano jej nową wersję o tej nazwie. Są rozgrywane mistrzostwa świata otello, mamy i my – niedawno właśnie rozgrywane – mistrzostwa krajowe.

Na planszy mamy 64 kwadratowe pola. Pionków też jest 64. Te pionki – to krążki w dwóch kolorach. Z tym, że oba te kolory ma każdy pionek: po jednej stronie jeden kolor, po drugiej – drugi. Do gry zasiada dwóch partnerów i każdy wybiera swój kolor, a o tym, kto rozpocznie grę, decyduje losowanie. Cel gry – to „zasiedlenie" planszy jak największą liczbą własnych pionków.

Ruchy w tej grze polegają wyłącznie na dostawianiu pionków na planszę. W chwili rozpoczęcia jest ona pusta. Zawodnicy w 4 pierwszych ruchach (następujących na zmianę) mają obowiązek ustawić po 2 swoje pionki na centralnych polach planszy, wyróżnionych kolorami. W dalszych krokach – można już stawiać swoje pionki na dowolnych polach, ale koniecznie tak, aby przynosiło to za każdym razem bicie przynajmniej jednego pionka przeciwnika.

Bicie pionka (lub wielu pionków) przeciwnika następuje, gdy znajdzie (znajdą) się on (one) pomiędzy naszymi pionkami, na sąsiednich polach. Dokonując bicia takiego „osaczonego" pionka, (pionków) nie zdejmujemy go (ich) z planszy, ale w miejscu odwracamy na drugą stronę: w ten sposób zbity pionek uzyskuje nasze barwy, staje się naszym „żołnierzem" i tym samym mamy zajęte na planszy o jedno miejsce więcej. W wyniku dalszych poczynań pionek taki może zresztą znów „zmienić barwy", może się zdarzyć, że będzie „odbijany" parę razy.

Odpowiednim ruchem, czyli postawieniem pionka na planszy, można nie tylko zbić kilka pionków na raz: można też uzyskać kilka różnych możliwości bicia jednocześnie. Gracz nie ma obowiązku wykorzystać wszystkich, musi jednak wykonać przynajmniej jedno bicie. Jeżeli nie mamy możliwości bicia – nie wolno nam w ogóle stawiać na planszy swego pionka. Wtedy grę przejmuje partner.

Pojedynek trwa tak długo, dopóki cała plansza nie „zaludni się" pionkami, albo do chwili, gdy gra się „zatnie", tzn. żaden gracz nie będzie mógł wykonać bijącego kroku (a innych w tej grze nie ma). Wygrywa ten, kto ma na planszy więcej swoich pionków. **(tok)**

Fot. **M. Szymański**

GWIAZDOZBIÓR

MILCZENIE Roberta Redforda

Tak wyglądał Robert Redford w dniu, gdy otrzymał „Oscara" za reżyserię filmu „Zwykli ludzie". Film ten tylko część polskich widzów oglądała na grudniowych konfrontacjach, ale że został on przez Polskę zakupiony – za czas jakiś będzie dostępny dla każdego. Tak wysoko uhonorowany debiut reżyserski słynnego gwiazdora poświęcony jest bardzo popularnej ostatnimi czasy w Stanach Zjednoczonych tematyce rodzinnej. Opowiada o poważnych problemach nastolatka i o głębokiej więzi uczuciowej łączącej go z ojcem. Zwraca uwagę na niepokojące, coraz częściej zachodzące zjawisko gubienia przez amerykańskie kobiety, w pogoni za komfortem i blichtrem życia codziennego, autentycznych uczuć rodzinnych.

Film ten zmusił publiczność, krytyków i świat filmowy do zauważenia w Redfordzie nie tylko urody gwiazdora i aktorskiego talentu, ale uznanie go za świetnego obserwatora i twórcę najwyższego rzędu w filmowej hierarchii, czyli reżysera i to wysokiego lotu.

Kiedyś Redford – uwielbiany po rolach w takich filmach sensacyjnych jak „Trzy dni Kondora", czy „Wszyscy ludzie prezydenta", powiedział z pewną goryczą: – *Między tym, jaki jestem naprawdę, a tym czego oczekuje po mnie publiczność – jest przepaść.* I dodał jeszcze. – *Chcę, żeby oceniano mnie wyłącznie na podstawie mojej pracy.*

Jaki jest, teraz już można określić bez obawy pomyłki. Jest więc człowiekiem wszechstronnym. Jego ojciec – adwokat, marzył by i on wybrał ten zawód i wierzył, że otworzy się wtedy przed nim droga do dyplomatycznej kariery. Rozczarował się jednak. Redford wybrał... architekturę. W 1956 r., by ją studiować, wyjechał do Paryża, choć nie znał ani słowa po francusku. Jak wspomina – z pobytu tam zaledwie trzy tygodnie poświęcił nauce, bo – *architekta od scenografa dzieli tylko jeden krok, a skok od scenografii teatralnej do aktorstwa, jak się okazało, był jeszcze krótszy..* Nic dziwnego, że przy tego rodzaju braku zahamowań i szybkości w podejmowaniu życiowych decyzji już w 1958 roku podjął tę ostateczną i rozpoczął studia w nowojorskiej Akademii Sztuki Dramatycznej.

Były to lata trudności finansowych. Studia ukończył właściwie tylko dzięki pomocy żony – Loli, która pracowała w banku zarabiając zaledwie 55 dolarów tygodniowo, ale nie zgadzała się, by przerwał naukę i zarabiał na dom. Poświęcenie zaprocentowało. Od chwili zdobycia dyplomu grał nieprzerwanie w filmie i na scenie. Stał się sławnym i bogatym człowiekiem. Stać go było na zrealizowanie wielkiego swego pragnienia – życia blisko przyrody. W stanie Utah nabył ziemię i wybudował wspaniałe ranczo na malowniczym wzgórzu. Chroniąc urodę tego miejsca przed trującymi wyziewami cywilizacji wybudował tam też centralę energii słonecznej. Był szczęśliwy i powtarzał wszystkim: – *Lubię Los Angeles, gdzie wszystko jest w ciągłym ruchu i lubię Nowy Jork, ponieważ jest to tygiel, w którym mieszają się różne kultury. Najlepiej jednak czuję się na mojej górze w pobliżu rodziny i lasu.*

Tam mógł się swobodnie oddawać ulubionym sportom (narty i pływanie), a także pracy intelektualnej, której plonem były artykuły ekologiczne (m.in. o zaletach energii słonecznej) w piśmie „National Geographic" oraz książka „The Outlaw".

Tak było przed realizacją filmu „Boobecker" o reformie systemu więziennictwa i przed rolą w „Elektrycznym jeźdźcu" – historii kowboja, który wpadł w tryby systemu gwiazd rodeo i zbuntowany, postanowił rzucić wszystko narażając się na pościg policji. W Utah także zrodził się pomysł „Zwykłych ludzi".

Po światowym sukcesie tego filmu niespodziewanie Robert Redford zamilkł. Minęły już ponad dwa lata od czasu wejścia na ekrany tego kasowego przeboju – a on nie zagrał w żadnym filmie i nie mówi nic o swoich nowych planach. Odsunął się od kolegów i przyjaciół. Nie ma żadnych oficjalnych wystąpień. Spotkała go tragedia osobista. Po 24 latach szczęśliwego małżeństwa Lola opuściła go. Wraz z trójką ich dzieci: Shauną (22 lata), Dawidem Jamesem (20 lat) i Amy (12 lat) mieszka w Nowym Jorku, prawie 4 tysiące km od Utah.

Ludzie, którzy znają dobrze Roberta Redforda, jego energię i pracowitość twierdzą jednak, że już wkrótce otrząśnie się jakoś i opuści swoją samotnię, by znów reżyserować. Tym razem film będący dramatyczną prezentacją idei ochrony naturalnego środowiska. Oby jak najszybciej!

(eb)

Fot. **archiwum**

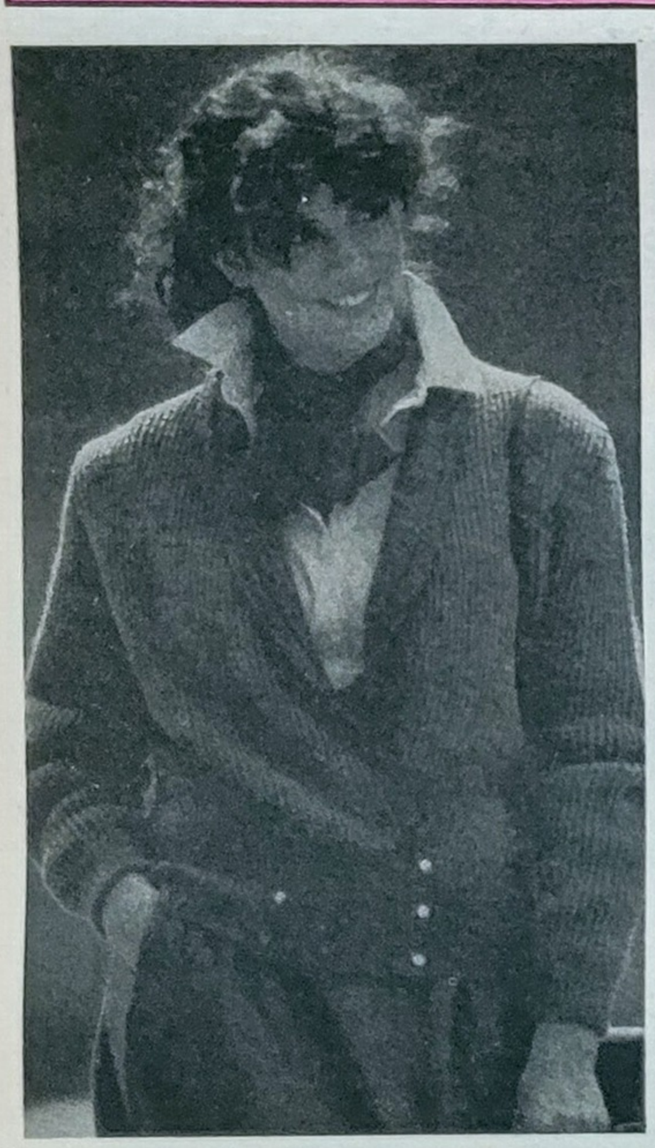

świata młodych

DOM MODY

Serial włóczkowy – odc. 6

SWETRY ROZPINANE

O pulowerach, czyli swetrach wkładanych przez głowę, pisałam najpierw, bo... bardziej takie są zimowe jakby – na narty, na sanki, na łyżwy i w ogóle na tysiąc innych zimowych okazji. Co nie znaczy, że swetry rozpinane na zimę się nie nadają. Jak najbardziej. Tyle że inny mają nieco charakter. Są, nazwijmy to tak, elegantsze, bardziej... wyjściowe niż sportowo-codzienne.

Oczywiście wszystko zależy od koloru, ściegu i fasonu, ale najogólniej rzecz biorąc, to np. w sytuacji, gdy zajdzie konieczność zarzucenia czegoś cieplejszego na sukienkę – wkładany przez głowę pulower do tego celu się już nie nadaje. Więc oprócz pulowera warto mieć w swej szafie również i jakiś ciepły sweter rozpinany, który przyda się nie tylko zimą, ale i wiosną – do noszenia w charakterze żakiecika, kurteczki. Jeśli nawet ktoś dzierga bardzo wolno, to zabierajac się do roboty w najbliższych dniach – do wiosny na pewno zdąży.

Swetrów rozpinanych istnieje cała masa i bardzo są różne. Poczynając od całkiem długich, płaszczyk niemal przypominających, na sięgających zaledwie talii kończąc. Te dłuższe bywają na ogół wyposażone w kieszenie, co roboty specjalnej nie dodaje (zwłaszcza jeśli jest to kieszeń naszywana), a wygoda potem z tego jest ogromna. W przeciwieństwie do wkładanych przez głowę pulowerów, które lubią być bardzo wielokolorowe, swetry rozpinane na ogół są robione w jednolitym kolorze. A to dlatego, żeby w połączeniu z różnymi ciuchami nie tworzyły pstrokacizny. Najbardziej upraszczając: pulower nosi się zazwyczaj do spodni, które najczęściej są jednokolorowe (wtedy pulower może być wzorzysty), a sweter rozpinany do spódniczek, które z kolei bywają najczęściej wzorzyste jakieś, a więc siłą rzeczy wymagają czegoś jednokolorowego. Rzecz jasna – nie jest to reguła i jeśli ktoś chce, to może sobie wydziergać sweter rozpinany z wielu różnych włóczek, ale jednokolorowy bywa praktyczniejszy.

Sformułowanie „rozpinany" też należy traktować umownie. Oczywiście, większość takich swetrów jest zapinanych na guziczki (bywają swetry zapinane dwurzędowo), albo na drewniane kołeczki (to dotyczy tych swetrów, największych, najgrubszych, płaszczopodobnych), ale mogą być i swetry całkowicie pozbawione jakiegoś stałego zapięcia – wówczas przytrzymuje się je w talii paskiem. Pasek może być zarówno wydziergany z tej samej co i cały sweter włóczki jak i jakiś „obcy", wówczas najlepiej skórzany.

Parę pomysłów takich swetrów przedstawiam na zamieszczonych obok zdjęciach, ale rozumiem, iż macie jasność co do tego, że nawet promila istniejących możliwości one nie wyczerpują. I co do tego, że – jak zawsze w dziedzinie włóczkowych dziergadeł – pomysły własne są niepowtarzalne, a to co niepowtarzalne

TO JEST WŁAŚNIE TO!

RIUSZKA

BLISKIE SPOTKANIE Z OGNISTĄ KULĄ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Dlatego szybkość pioruna jest niewielka, podobnie jak szybkość nadmuchanego balonika.

Ale dlaczego piorun kulisty dość długo nie rozładowuje się? Jak zachowuje niezmieniony kształt? Przecież siły wewnątrz kuli działają na siebie odpychająco, ponieważ wszystkie cząsteczki posiadają ten sam ładunek. A więc w jaki sposób utrzymują się razem, otaczając się przy tym czymś w rodzaju „gumowej obręczy"?

W największym skrócie zjawiska te można wyjaśnić następująco: załóżmy, że jądro pioruna kulistego jest skupiskiem dodatnio naładowanych cząstek. Do jądra ze wszystkich stron zdążają więc, nabierając coraz większej szybkości, elektrony i ujemne jony. Centralna część kuli jakby „wysysa" je z powietrza i różnych przedmiotów. I ten silny potok równoważy siły odpychania działające wewnątrz kuli pomiędzy dodatnimi jonami. Na powierzchni jądra tworzy się cienka warstwa neutralnych atomów powstających z połączenia cząstek dodatnich jądra i ujemnych z atmosfery. Gaz otaczający kulę nagrzewa się, rozszerzając swoją objętość, co wzmaga nacisk na jądro. Wszytkie te procesy dokonują się nieustannie ze wszystkich stron, co sprawia, że jądro zachowuje nie zmieniony kształt.

Z zawiłych wyliczeń wynika, że gęstość pioruna kulistego może przewyższać gęstość powietrza od 1,6 do 160 razy! Z punktu widzenia istniejących hipotez jest to niemożliwe, gdyż piorun o takiej gęstości nie powinien unosić się nad ziemią, lecz szybko na nią spaść. Dlaczego tak się nie dzieje – pozostaje nadal zagadką...

Kulisty piorun znika tym szybciej, im bardziej środowisko nasycone jest przeciwstawnymi ładunkami. Woda jest dobrym przewodnikiem elektryczności, więc gdy pewnego razu ognista kula uderzyła w zmoczoną deszczem słomę, zapaliła ją jak zapałkę, a sama zniknęła...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Opr. **ELŻBIETA PAWŁOWICZ**

O tym jak piorun kulisty zawędrował do szuflady biurka, o niezwykłych sposobach poruszania się ognistych kul oraz o mrożącym krew w żyłach powietrznym spotkaniu – przeczytacie już w następnym numerze „ŚM"!

Maria Bełrak ze Stalowej Woli bardzo się oburza na włoskiego dziennikarza, który pozwolił sobie mieć wątpliwości co do istnienia latających talerzy. Muszę przyznać, że nie podoba mi się taka postawa, w której demonstruje się brak tolerancji dla poglądów odmiennych. Dotyczy to zresztą nie tylko problemów ufologicznych, ale i politycznych, światopoglądowych. Kiedy my się wreszcie nauczymy dyskutować? Można się, oczywiście, z kimś nie zgadzać, ale nie można uważać kogoś, kto ma inne zdanie – za głupca. Posłużyłem się przykładem Marysi, ale przecież uwagi te odnoszą się nie tylko do niej.

PREZES

DZIESIĄTA PLANETA

Od niedawna interesuję się astronomią. Zainteresowałam się tą dziedziną nauki zupełnie przypadkowo. Wróciłam ze szkoły i okazało się, że nie mam klucza. Przez dobre 5 minut dzwoniłam wytrwale z nadzieją, że jakaś „dobra dusza" otworzy drzwi. Niestety, drzwi nie otworzyły się. Zrezygnowana siadłam pod drzwiami i zaczęłam czytać „Świat Młodych" (gazetę nabywam w drodze do szkoły). Przeczytałam „wszystko". Ten wyraz „wszystko" jest niepełny, ponieważ zawsze opuszczałam przedostatnią stronę, tzn. „TOMIK". Tematy, które tu były poruszane, uważałam za nudne i nieinteresujące. Teraz zaś, gdy siedziałam pod drzwiami dobre 2 godziny, a zanosiło się na dalsze dwie lub trzy, wzięłam do ręki jeszcze raz „Świat Młodych" i zaczęłam go przeglądać. Przyznam się szczerze, że po prostu z nudy, tak, ze zwyczajnej nudy przeczytałam „TOMIK". Dokładnie nie pamiętam jakie to były tematy, ale bardzo mnie zainteresowały. I tak rozpoczęła się moja przygoda astronomiczna, która trwa do dziś.

Chciałabym przedstawić Czytelnikom „TOMIKA" pewne przypuszczenia, dotyczące hipotycznej dziesiątej planety – Transplutona.

Są pewne dane, które pozwalają sądzić, że układ planetarny Słońca nie kończy się na Plutonie. Poza nim zdaje się krążyć jeszcze jedna, i to dość masywna planeta. Obliczono nawet elementy jej orbity (H. M. Kritzinger) i wyznaczono aktualną pozycję na niebie. W 1960 roku miał to być pewien rejon gwiazdozbioru Pegaza. Okres obiegu Transplutona, bo tak nazwano tę planetę, ma wynosić 676 lat, a średnia odległość od Słońca 77 j.a. W jaki sposób Kritzinger doszedł do tych wyników? Transpluton krążący na peryferiach układu planetarnego, podobnie zresztą jak Pluton, nie zdradził się swym blaskiem, jako że światło słoneczne w tej odległości jest prawie pół miliona razy słabsze niż w sąsiedztwie Ziemi, lecz zdradziło go oddziaływanie grawitacyjne. Ale w rodzinie Słońca istnieją inne ciała niebieskie, dla których Transpluton nie zawsze jest obiektem odległym. To komety. Zdarza się, że niektóre z nich zostają „schwytane" przez siły grawitacyjne mijanych z bliska masywnych planet. Aphelia (najdalszy punkt orbity) takich komet leżą zawsze w pobliżu orbity planety, która sobie je „przyswoiła". I w ten sposób powstają całe „rodziny" komet, „spokrewnionych" z poszczególnymi planetami. Taka kolejność rzeczy wynika z praw mechaniki nieba. Oto co daje analiza orbit komentarnych tzw. krótkookresowych, rozważanych z punktu widzenia ich przynależności do poszczególnych „rodzin". Do „rodziny" największej z planet, Jowisza, zakwalifikowano aż 52 komety. Saturn ma na swym koncie 6 komet, Uran – 3, Neptun – 8, Pluton – 5, Transpluton – 8. W sumie 82 komety zrzeszyły się w „rodziny", a z tego pokaźna liczba, bo aż 8 przypadła niezanej dziesiątej planecie.

Istnienie Transplutona z punktu widzenia mechaniki nieba zdaje się nie ulegać wątpliwości. O wiele trudniej będzie wyszukać go optycznie. Odszukanie Transplutona nie będzie łatwe. Wszak gwiazdozbiór Pegaza, o który tu chodzi, był już raz skrupulatnie „obszukany" przez Tombaugha (odkrywcy Plutona w 1930 r.), tyle tylko, że nie koncentrowano wówczas uwagi na obiektach tak bladych jak ewentualny Transpluton. Dopóki to nie nastąpi, nie możemy być całkiem pewni istnienia dziesiątej planety. Ciekawe, jaki będzie dalszy rozwój wypadków. Być może, problem rozwiąże dopiero jakaś nowa, jeszcze czulsza metoda badań.

Grażyna

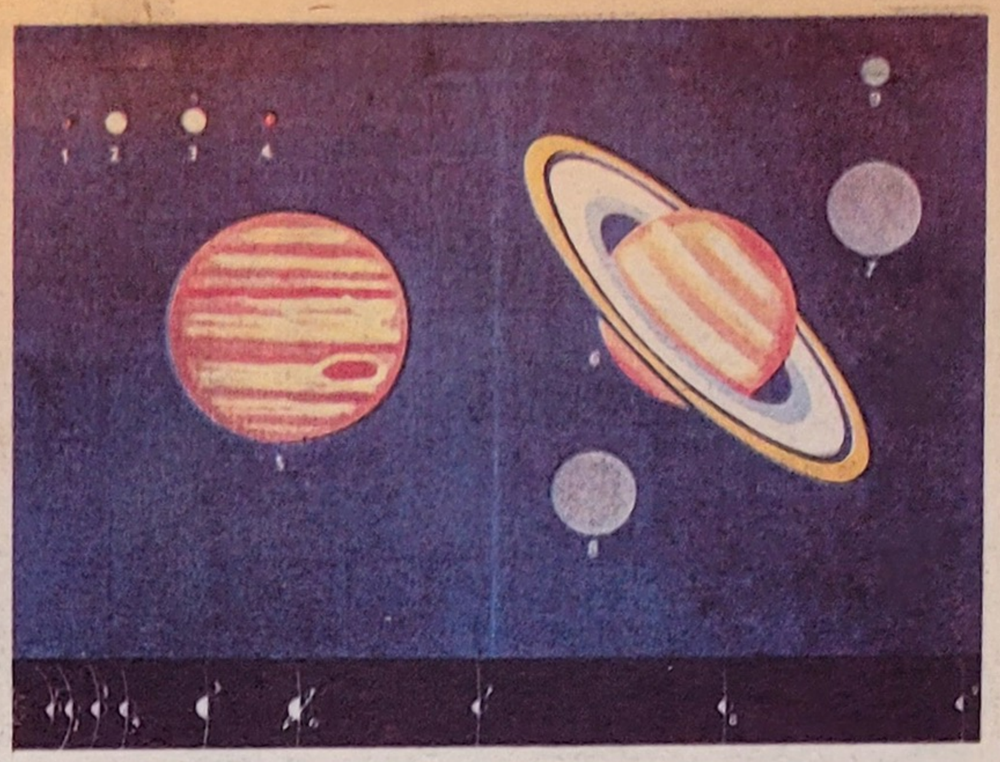

Znane dotychczas planety Układu Słonecznego. U góry – porównywalne ich wielkości, u dołu na czarnym tle – proporcjonalne ich odległości od Słońca. Kolejność planet: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun i Pluton

UFO – PRODUKTEM MITOLOGII TECHNOLOGICZNEJ

Na łamach „Tomika" często gości problem UFO. Chciałabym zabrać głos w tej sprawie. Niedawno trafił do moich rąk zeszłoroczny numer „Nowin", w którym znajdował się artykuł pt. „Enigma zagubionych UFO". Zainteresowała mnie jego treść. Jest to tekst opublikowany za włoskim dziennikiem „CORRIERE DELLA SERA". Autor, jak można wywnioskować z samego tytułu, poruszył w nim problem UFO, czyli Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Otóż według niego UFO są czystym wymysłem, który pojawia się szybko i błyskawicznie... znika. Jest to przywidzenie występujące u ludzi w okresach niepokojów, stresów. Wtedy to (według autora Francesco Alberoniego) człowiek podnosi wzrok ku niebu i czeka na swych zbawicieli... No i stąd lawina osób, które widziały istoty pozaziemskie lub ich „talerze". Często pojawienie się UFO jest poprzedzone trudną sytuacją polityczną. Cytuję: „Można wręcz powiedzieć, że pojawiły się one (chodzi oczywiście o UFO) wraz z wojną w Korei". Swój artykuł Alberoni kończy stwierdzeniem, które jest podsumowaniem wszystkich jego wywodów, a brzmi ono tak: „UFO są produktem amerykańskiej mitologii technologicznej".

Nie wiem czy streściłam w pełni zrozumiale ten oszczerczy i wprost śmieszny „artykulik". Ale nawet z tego mojego miernego podsumowania można wysunąć wiele wniosków. Jestem do głębi oburzona tymi pozornie dociekliwymi stwierdzeniami p. Alberoniego. Prawie zupełnie nie zgadzam się z jego zdaniem dotyczącym istnienia UFO. Napisałam – prawie, gdyż jedną, jedyną jego tezę popieram. Otóż (tak rozumuje pan F.A.) w grupach ludzi niby widzących UFO znajdowali się również tacy, którzy z tej rzekomej obserwacji chcieli wyciągnąć korzyści i dostarczyć prasie sensacyjnych nagłówków. Ale, jeśli pominiemy wszystkich kłamców i histeryków, zostanie spora grupa osób trzeźwo myślących. W tej drugiej grupie znajdują się jednak jednostki, które nie mogą pomylić UFO z innymi obiektami i przypisać im miano Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Możemy zazwyczaj do niej zaliczyć: naukowców, meteorologów, pilotów wojskowych. Co do tych ludzi mamy 99% pewności, że zjawisko, którego byli świadkami wydarzyło się na jawie a nie w ich wyobraźni. Uzyskaliśmy jeszcze jedną pewność. Taki pilot, do tego wojskowy, z pewnością nie weźmie balonu meteorologicznego lub pioruna kulistego za UFO. Ten wynik także wpływa w znacznym stopniu na to 99% pewności. Na dopełnienie tych wywodów podam kilka wiarygodnych, udokumentowanych raportów:

29 I 1965 r. na lotnisku marynarki w Maryland, zauważono dzięki ekranom radarowym dwa nieznane latające obiekty.

3 V 1964 r. różne osoby w tym trzech meteorologów, spostrzegło w Canberra (Australia) wielki, jasno świecący latający obiekt. Wtedy to jeden z meteorologów powiedział: „Zawsze wyśmiewałem się z tych historii o latających spodkach. Co mam teraz powiedzieć, skoro widziałem je na własne oczy?"

25 XI 1953 r. na ekranie radarowym w bazie lotniczej w Kinross w stanie Michigan ustalono nieznany latający obiekt.

I jeszcze jeden meldunek z „Süddeutsche Zeitung" z Monachium: Sofia (UPI): Nad bułgarską stolicą pojawił się niezidentyfikowany obiekt latający. Jak podaje bułgarska agencja prasowa BTA, obiekt ten był zauważalny nawet gołym okiem. (Na podstawie „Wspomnień z przyszłości").

Są to fakty chyba na tyle wystarczające, że kilku niedowiarków na czele z panem Francesco Alberonim powinno otrząsnąć się ze swojej drętwoty i jeszcze raz przemyśleć dokładnie cały problem. (Trzeba zauważyć, iż p. F. Alberoni nie wspomniał w swym artykule nic a nic o tych jawnych i niestety wiarygodnych faktach).

Na koniec krótkie podsumowanie w formie pytania. Zadaję je wszystkim tym, którzy uporczywie twierdzą, że UFO to wymysł amerykańskiej technologii, a istnienie obcych cywilizacji to bzdura.

Gdyby poszukiwanie życia we wszechświecie nie miało sensu, czy astrofizycy w Ameryce i ZSRR, w angielskim Jodrell-Bank koło Manchesteru, jak i w Stockert koło Bonn wysilaliby się w swoich badaniach kierując ogromne anteny na tak zwane radio-gwiazdy?

Maria Bełrak
ul Swoły 26
37-450 Stalowa Wola

P.S. Bardzo chętnie nawiążę korespondencję z tymi osobami, które interesują się: UFO, Trójkątem Bermudzkim, Atlantydą, astronomią oraz fantastyką i S.F.

– Myślałem, że jedziemy do niej, do mamy – opowiadał – Dlatego powiedziałem tatusiowi, że chcę. Stał tak i patrzał na mnie, a potem powiedział, że to dobrze. Dobrze mi będzie. Dobrze to wszystko wymyśliliście, powiedział. I powiedział: jedźcie już szybciej. Myślałem, że mnie wyrzuca. Powiedział: jedźcie już szybciej, odwrócił się, wszedł do domu, a po chwili wyniósł walizkę. I jeszcze raz powiedział: no, jedźcie, na co czekacie? Krzyczał. Mama próbowała go uspokoić, ale on krzyczał, że nie chce z nami mówić.

Wyobrażałam go sobie, jasnowłosego olbrzyma, zaskoczonego, kiedy syn mówił mu, że chce odjechać. Musiał krzyczeć.

– I nie wyszedł się z nami pożegnać – mówił chłopiec. – Widziałem, że stoi przy oknie i patrzy, jak siadamy do samochodu, ale nie wyszedł nawet. Jakby go w ogóle nie było. I pojechaliśmy. Płakałem – mówi chłopiec – bo mi było źle. Dlatego, że on mnie wyrzucił. I pomyślałem, że to tak, jakbym nie miał już ojca. To się szybko stało. Nie spytał o nic, tylko powiedział, jedźcie sobie.

Ale w tym czasie jego ojciec stał przy oknie, ukrywał się za firanką i patrzył, jak odjeżdżają, a potem zabrał się za pracę i starał się o niczym nie myśleć. Co dzień czekał na listonosza, a potem przestał czekać, bo nie nadchodziły wiadomości. Pracował. Jego rodzice nie mieli już sił. Chciał ich zostawić w starym domu, i przenieść się w pobliże, szybko szukał ofert, i znalazł, i jeszcze dokupił nową ziemię, niezbyt daleko, w ładnej okolicy, kupił ją wraz z domem, w dziesięć dni podjął decyzję i niemal sfinalizował transakcję, więc załatwiał, pracował, czynił plany przebudowy nowego domu i starał się nie myśleć o synu. A potem przyszedł telegram.

– Jechaliśmy sobie – opowiadał chłopiec – i w drodze się dowiedziałem, że nie jedziemy do mamy. Tatuś mnie nie chciał, wyglądał źle i pomyślałem, że może bał się mnie zatrzymać, a mama też nie mogła, powiedziała, że nie może sobie ułożyć życia, i tak jechaliśmy, a potem był wypadek. I kiedy znalazłem się w szpitalu, wiedziałem, że mama nie ułożyła sobie życia, umarła, a ojciec chyba też, bo nie chciał mnie zatrzymać, a może nie mógł, i też umarł, i jeszcze myślałem, że może on z nami jechał i też zginął w wypadku. I dlatego jak oni nie żyli, mogła mnie wziąć babcia, prawda?

Nie pytałam już o nic. Wszyscy gdzieś wyszli, nawet ojciec chłopca zginął z Czteropalcym, chciał mu podziękować i wypytać go o dwa dni ucieczki, dom był cichy, chłopiec przyszedł do mnie, do pokoju, usiadł na moim łóżku, przytulił się i powiedział, że ojciec mu kazał, żeby był cierpliwy, ma coś do załatwienia. I znów zaczął mówić:

– Co miałem myśleć, jak chciała mnie wziąć babcia? Że oni nie żyją. Tak myślałem i jeszcze pomyślałem, że nie mogę płakać. Ojciec mi mówił, że mężczyzna nie płacze. Nie płakałem, ale wiedziałem wszystko, i miałem talizman. Talizman też mi powiedział, że wszystko będzie dobrze, teraz mam tylko babcię, i kłopoty się skończą. Przyjechała babcia i talizman nie był mi już potrzebny. Wszystko mi dał, czego potrzebowałem. Nic mnie nie bolało, a talizman nie mógł zrobić, żeby oni ożyli. Już wtedy nie mógł, kiedy mi go dał Czteropalcy, bo po wypadku ja od razu wszystko wiedziałem. Wszystko co mógł, talizman robił. Wszyscy byli dobrzy. I nie płakałem. Tylko przedtem, tyle co w samochodzie.

Miał talizman i nie płakał. Wszyscy byli dobrzy. Potem przyjechała babcia i chłopiec pomyślał, że powinien dać talizman komuś, kto go potrzebuje. Coś było w pokoju i patrzyło na chłopca – chciało, żeby oddał talizman. Talizman spełniał wszystkie jego życzenia. Nic nie bolało. Deszcze ustały. Przyjechała babcia. Wszystko się układało. I można było nie płakać. A To czekało. Usłyszał nazwę miasta, przypomniał sobie nazwisko Rybaka, o którym ojciec mu dużo opowiadał, zatelefonował i wymyślił historię z czekaniem na kładce.

– Żeby w tym było coś tajemniczego – powiedział. – No i na taką kładkę przychodzą dziewczynki, które o czymś marzą, prawda? Więc chciałem, żeby talizman miała taka dziewczynka. Nie myślałem wcale, że ona zaraz zawali tę kładkę i zrobi powódź. Ja bym nie chciał czegoś takiego. Ja bym chciał, żeby wszystkim było dobrze. Ona jest trochę dziwna, ta twoja siostra, nie? Ona też chce dobrze, ale może ona chce za dużo? Od razu.

Chłopiec odsunął się i uważnie na mnie popatrzył.

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA

PORWANIE KSIĘŻNICZKI

SCENARIUSZ I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

6

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony:
Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Inna Bójska

Opracowanie techniczne
Jerzy Rusak
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska

Nakł. 500292

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 5455/G. Z-39

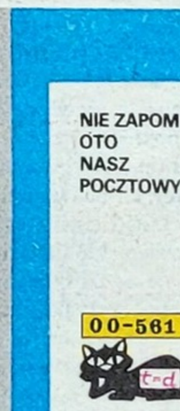

UŚMIECH NUMERU

PRZEWODNIK objaśnia:

– Ta studnia jest bardzo stara, pochodzi aż z dziesiątego stulecia!

– To dziwne, woda z niej smakuje zupełnie świeżo...

*

NAUCZYCIEL: – Kiedy Aleksander Wielki był w waszym wieku, dowodził już wojskami...

– Ale jego uczył Arystoteles! – słychać jakiś nieśmiały głos z końca klasy.

Ojca chłopca zawiadomił Rybak jeszcze przed wyjazdem na wieś. Przypomniał sobie, że jego przyjaciel miał syna, który pojawił się na chwilę jako noworodek, a potem zniknął tak dokładnie, jakby był tylko snem. Rybak zapomniał o chłopcu i przebiegając w myślach nazwiska i twarze znajomych przez dłuższy czas mógłby przysiąc, że ani jeden z nich nie był ojcem, zanim skończył studia. Lecz potem, kiedy siedział z Szarooką w kawiarni, a dziewczyna, która go porzuciła, bo chciała, żeby zrobił karierę, ale nie mogła znieść sposobu, w jaki ją robił, kiedy ta dziewczyna wbijała weń oczy, z niepamięci wyłoniła się podobna scena. Któregoś dnia, parę lat wcześniej, jego przyjaciel siedział ze swoją sympatią, także w kawiarni, a o kilka stolików dalej rozgniewana, półpłacząca inna dziewczyna, poprzednia miłość. Przyjaciel, jasnowłosy olbrzym, często lokował swe uczucia w nowych celach. Ale przy tamtej, tej nowej, został na długo, a potem pojawiło się dziecko. To był chłopiec. Rybak znał adres przyjaciela. Zamieszkał na wsi i prowadził ojcowskie gospodarstwo. To mógł być tylko on. Rybak wahał się, w końcu spytał Szarooką, czy zna nazwisko chłopca. Znała. Zgadzało się. Rybak wysłał telegram i obliczył sobie, że przyjaciel, jeśli w ogóle przyjedzie, zdąży na poniedziałek. W telegramie podał adres Szarookiej.

Ojciec chłopca otrzymał wiadomość dopiero w niedzielę rano, natychmiast ruszył w drogę, zdziwiony nieznanym adresem i nazwiskiem przyjaciela, który nagle znalazł się koło jego syna i prosił o pomoc, kilkanaście razy odczytywał niewiele słów i nic z tego nie rozumiał.

Ojciec chłopca poszedł na studia z postanowieniem, że gdy je skończy, wróci na wieś. Matka chłopca, owa ostatnia dziewczyna, pochodziła z miasta i wsi się bała. Urodziła dziecko, wysłała je do swojej matki, kończyła naukę, jej drogi z jasnowłosym olbrzymem po pewnym czasie się rozeszły. Rozstali się bez żalu i bez pretensji, zachowali nawet przyjaźń i wspólnie odwiedzali dziecko. Po studiach dziewczyna pozostała na uczelni, pracowała, czekała na mieszkanie, chłopiec nadal przebywał u babci, póki ojciec nie zaproponował, że go weźmie do siebie. Ma obszerny dom, wszystkie wygody, chłopcu będzie dobrze. I chłopiec zamieszkał u ojca. Lecz zbliżała się szkoła, chłopiec rósł. Matka z przerażeniem myślała, że chłopiec mógłby chodzić do wiejskiej szkoły. Nie wierzyła w wiejskie szkoły, zbiorcze czy nie zbiorcze. Nie wierzyła i postanowiła sprowadzić dziecko do miasta. Ale nie mogła go wziąć. Ciągle czekała na mieszkanie, planowała zamążpójście, dziecko nie miałoby u niej ani dobrej opieki, ani dobrych warunków. Więc znów: babcia. Babcia powiedziała, że chętnie przyjmie wnuka. Ojciec długo się nie godził, w końcu matka postanowiła postawić go przed faktem dokonanym. Zagroziła sprawą sądową i przyjechała po chłopca, wyprowadziła go na długi spacer, opowiedziała o świetnej szkole, do której chce go zapisać, przypomniała, jak dobrze było u babci. Zabrała go.

A potem ojciec chłopca otrzymał telegram: gdy zjawił się wśród nas, ciągle nie wiedział, co mogło się stać. Był przekonany, że jego syn jest już u babci, oswaja się z miastem i zaczyna przygotowywać do nauki w szkole. Matka chłopca spieszyła się – oznajmiła mu wtedy tylko, że chłopiec był dość długo na wsi, ostatnie przed szkołą lato niech spędzi tam, gdzie się będzie uczył.

– Nie wiem, jak to się mogło stać – powiedział nam.

Chłopiec jednak wyjaśnił, dlaczego uciekł. Ale tylko mnie. A kiedy indziej Smarkulowi.

Dokończenie na str. 7